Nr. 8. Poznań, Niedziela 24go Lutego 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen., pod opaską 40 fen.

TREŚĆ

WAŻNE WYZNANIE.

I.

„Dziennik Poznański“ odpowiedział na zaczepkę „Kuryera Poznańskiego“, że jest pismem „umiarkowanie liberalnem“ stosownie do obowięzujących go ustaw. To wyznanie politycznej wiary pisma, nader poważanego w kołach naszego obywatelstwa wiejskiego inteligencyi po miastach, jest wypadkiem, zasługującym na szczególną uwagę społeczeństwa naszego w zaborze pruskim,

Pamiętajmy o tem, że ów „umiarkowany liberalizm“, czy on się zowie oportunizmem, czy narodowym liberalizmem, uchodzi dziś w Europie za firmę upadłą. Wiemy przecież dobrze, że tak w zachodniej jak i południowej Europie, że w Niemczech i w Austryi, przyszedłszy do władzy, korzystał z niej, aby kosztem ogółu zapchać kieszenie swych zwolenników. Wspominamy to dla tego, aby z góry zaznaczyć, że podobnego liberalizmu nie imputujemy ani „Dziennikowi“, ani jego opiekuuom i stronnikom. Przeciwnie — uznajemy w wyznawcach dziennikowego liberalizmu najlepsze chęci i zupełną bezinteresowność w działalności publicznej. Że stronnictwo, grupujące się około „Dziennika Poznańskiego“ dążyło zawsze i dąży jeszcze do zagarnięcia pod swe kierownictwo najszerszych kół naszego społeczeństwa, tego mu żaden rozsądny człowiek za złe poczytać nie może. Czemby było stronnictwo polityczne bez takiej dążności, i bez takiej — ambicyi?

Ale co nas najbardziej chwyta za serce, to otwarte przyznanie się „Dziennika“ do liberalizmu. Wprawdzie osłabił on to swoje wyznanie nadaniem mu przymiotu „umiarkowanego“. My przypuszczamy, że taka modyfikacya niczem więcej nie jest, jak środkiem taktycznym w polemice, wszczętej przez „Kuryera“ — coś w rodzaju drzwiczek tapetowyah, posiadających niemałe znaczenie w walce o dwóch frontach, t j. z przeciwnikami i własnymi przyjaciółmi. Przezorna gazeta u nas zwykła się liczyć i z zasadami i z abonentami, w każdym razie jednak przyznanie się do liberalizmu, chociażby do bardzo wodnitego, przez pismo, zażywające wzięcia w kołach naszego obywatelstwa wiejskiego i czepiające się fałdów inteligencyi, jest bardzo śmiałym krokiem naprzód. Wiadomo przecież, że od czasu, kiedy niewygasłej pamięci Dr. Matecki (a będzie temu lat dwadzieścia) przyznał się otwarcie na wiecu poznańskim „do liberalizmu“ i za to poszedł w „masony“, liberalizm u nas przycupnął, tak jakby był zamieszczony na indeksie rzeczy zakazanych.

Dziwimy się tylko jednej rzeczy: oto temu, że „Kuryer“ nie schwycił „Dziennika“ za słowo i także nie odesłał go w masony. A miałby ze stanowiska swego słuszność, bo liberalizm Dziennikowy zaakcentował się swego czasu głównie w walce przeciw naszemu „ultramontanizmowi“. Było to w czasie, kiedy ks. kanonik Koźmian pod opieką ks. arcykiskupa Ledóchowskiego zamierzał duchowieństwo nasze, a przez nie lud wyrwać z pod opieki bardzo chłodnej w rzeczach religijnych szlachty i inteligencyi. Tak jak za czasów reformacyi katolickiej w drugiej połowie szesnastego wieku, rozpoczęła się u nas walka o zdobycie dla siebie średnich i niższych warstw społeczeństwa naszego. W duchu tradycyi narodowych miała się chata chłopa naszego opierać jednym bokiem o plebanią, a drugim o dwór obywatelski. „Dziennik Poznański“ z całą gorliwością patryoty polskiego, wychowanego w wyobrażeniach „liberałów“ czteroletniego sejmu, propagował tę myśl tak samo, jak ją propagowali nasi ultramontanie z ks. Koźmianem na czele. Każdy jednak z przeciwników ówczesnych chciał zaludniać tak plebanią jak i dwór lokatorami swego własnego autoramentu. „Dziennik“ nigdy się nie wypierał katolicyzmu: nie był jednakże „in odore sanctitatis“ u swych przeciwników, bo oddając cześć głowie Kościoła katolickiego, Piusowi IX, najgorętszemu przyjacielowi naszego narodu, równocześnie okazywał sympatye dla sekularyzacyi Rzymu, flirtował z Garibaldim, Wiktorem Emanuelem, wreszcie i z Gambettą, wogóle ze wszystkimi liberałami na świecie, których nazwiska stały na liście proskrypcyjnej naszych „ultramontanów“. Palił on świeczki, jak to jeden z ówczesnych pamflecistów się wyraził, i Bogu i djabłu.

Duchowieństwo nasze „liberalizowało“ — w wielkiej przynajmniej części — przed przybyciem ks. arcyb. Ledóchowskiego. Ojczyzna tych księży nie była w Rzymie. W chwilach krytycznych, gdy zdawało się, że zachodzi kolizya między wymaganiami władz kościelnych, a obowiązkiem względem ojczyzny, oni woleli stanąć pod komendą komitetów obywatelskich — białych czy czerwonych — lub iść za głosem takiego patryoty, jakim był np. ks. Hieronim Kaysiewicz, niż słuchać rozkazów zwierzchności. W swych sentymentach bliższymi oni byli ks. Staszyca, niż ks. Skargi. A jednak potrzeba było tylko kilkoletnich rządów ks. Ledóchowskiego, kilkoletniej pracy takiego, jak ks. Koźmian człowieka, przerastającego o całą głowę koryfejów naszego liberalizmu, żeby to duchowieństwo z dążnościami odśrodkowemi zszeregować około tronu arcybiskupiego, jako żołnierzy, wojującego o swą supremacyą w naszem społeczeństwie klerykalizmu. W przededniu tryumfu ks. Koźmiana objął redakcyę „Dziennika“ pan Dobrowolski. Poprzedziła przyjście jego reputacya gorącego patryoty — i człowieka zasad na wskroś liberalnych. Rozpoczęły się na nowo zabiegi o napędzenie duchowieństwa naszego w sieć bardzo mglistego programu liberalnego. Chciano przeciwstawić ultramontanizmowi coś w rodzaju gallikanizmu polskiego; alo zapomniano o tem, że w kilka lat po publikacyi encykliki papieskiej*) z dołączonym „syllabus errorum“, potępiającym ex cathedra „katolicyzm liberalny“, a nawet doktrynę takich katolików wierzących, jakim był hr. Montalambert, wojowanie z ultramontanami w rzeczach karności kościelnej było anachronizmem. Zostały jeszcze po dekanatach niedobitki obozu liberalnego; ale jedna część tych księży, którym „Dziennik“ nie szczędził epitetów: wzoru iście polskiego kapłana-obywatela, składała się z malkontentów, ktorych ambicyi nie zaspokoiła władza kościelna, a druga — chyba z poplecznikow późniejszych „Wiarusa“, którym nawet wody osieckie nie zmyły grzeszków, podpadających cenzurze kościeiej. Po rozpoczęciu „walki kulturnej“ liberalizm dziennikowy był już złamany. Przyglądał się z oziębłością liberała dawnej daty walce kulturnej. Był on za dobrym Polakiem, żeby nie sympatyzować z ofiarami tej walki, jako swymi ziomkami, ale był za mało przenikliwym, żeby dostrzedz wydobywające się na wierzch z odmętu tej walki żywioły ludowe.

Gdy kurz i opara walki zaczęły opadać, przedstawiło się naszemu szlacheckiemu liberalizmowi widowisko obce zupełnie dla niego. Plebania i dwór zmieniły swych lokatorów. Pierwszą zajęli księża ze szkoły ks. Koźmiana, na kruchych fundamentach drugiego zaczęli budować po swojemu własny dom zwolennicy „Orędownika“, naonczas podlegającego wpływom ks. Koźmiana. Odsunięte od wpływów stronnictwo liberalne nie chciało dać za wy-

*) Ogłoszono ją 9 grudnia 1864.

grane. Przedewszystkiem chodziło mu o odebranie pozycyi „Orędownikowi“. Rozpoczęła się znów walka, przypominająca zapasy lisa z jaźwcem o reokupacyą nory. Jakim zaś kosztem swego programu liberalizm zapoczątkował i podtrzymywał tę walkę, o tem w następnym numerze.

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Głośny germanizator szląski ks. Ronczka, sprawca rozwiązania Tow. Oświata, wciąż jeszcze wojuje z „Katolikiem“ bytomskim nie przebierając w najostrzejszych słowach i zarzucając przeciwnikom tchórzostwo, skoro na inwektywy jego odpowiadają milczeniem. „Katolik“ sprawie tej poświęca następujące uwagi w Nr. 28.

„Patrzcie czytelnicy, jak niegodnie lży ksiądz Ronczka „Katolika“ za to, że nie chce z nim kłótni prowadzić. Gdyby się „Katolik“ z nim kłócił, toby wołał, że „Katolik“ walczy z duchowieństwem; gdy zaś „Katolik“ nie chce się kłócić, to go drażni, wyzywa, lży. Poddajemy to postępowanie pod sąd publiczny, pod sad naszych czytelników, którzy sprawę znają i dobrze wiedzą, co „Katolik“ o niej pisał i jak pisał. Spamiętajcie sobie dobrze, 1) że ksiądz R. zelżył najprzód „Katolika“ o to, że tenże bronił prawa, które ks. R. z pomocą policyi chciał przedziurawić; 2) że ks. R, zelżył powtórnie „Katolika“ za to, że na jego obelgi nie odpowiedział.

Niejeden czytelnik, nie widząc żadnej winy po stronie „Katolika“, nie zrozumie przyczyny, dla czego ten ks. R. tak wojuje z „Katolikiem“? To się łatwo da wytłomaczyć; przy wyborach przed 2 laty był ks. R. jednym z tych, którzy najzawzięciej przeciw panu Szmuli i „Katolikowi“ występowali. Dla tego też od owego czasu sroga złość w nim siedzi na „Katolika“ i z tego powodu przy obecnej okazyi chciał sobie nieco ulżyć. W innych artykułach dał to wyraźnie poznać i ośmielił się twierdzić, że „Katolik“ za nos wodził lud górnoszląski. Wodzenie za nos, to wybory. Znowu się tedy pokazało, że ponieważ „Katolik“ przy wyborach zrobił tak, jak sobie lud życzył, dla tego teraz ks. R. i niektórzy inni, jemu podobni, z „Katolikiem“ walczą. „Katolik“ przetrwa to, jak przetrwał gorsze rzeczy, a na pociechę naszych abonentów, donieść możemy, że mimo wszelkiej agitacyi „Katolikowi“ w tym kwartale przeszło 600 abonentów przybyło.

Ks. R. niech sobie z „filipem“ lub bez „filipa“ dalej pisze, co chce; odpowiedzi od nas już nie dostanie żadnej. Ale skoroby mu znowu przyszła chęć próbować rozbijać towarzystwo polskie za pomocą policyi, wtedy znajdzie nas zawsze w pogotowiu“.

Do *Gazety Gdańskiej* (Nr. 21) donoszą z Kaszub bałtyckich:

„Że nasze Towarzystwo rolnicze w Darzlubiu pomimo 20 lat istnienia swego nie przeżyło się, lecz wzrasta, osądzić możecie ztąd, iż na ostatniem zebraniu przystąpiło aż 9 nowych członków. Zważcie nadto biedę naszą. Zniewoleni jesteśmy potłukiwać się po izbach prywatnych. Polscy oberzyści lękają się nas przyjąć z wiadomej przyczyny; niemieccy radziby nas u siebie mieli — ci nie mają najmniejszej przyczyny się strachać — lecz my z przyczyn jasnych dziękujemy im za ich interesowną gościnność. Nawet i domy prywatne, jako ostatni nasz przytułek, chciano nam zakazać! Skorośmy na zebraniu ostatniem ustanowili, że przyszłe odbędzie się tam lub tam, zjeżdżał z rozkazu p. landrata żandarm, mierzył wysokość, szerokość i długość mieszkania — czy to nie ojcowska opieka nad synami, żeby im za duszno nie było? Meter rozstrzygał! Skoro izba nie miała odpowiedniej miary, odmawiała policya poświadczenia o powiadomieniu o zebraniu! Raz, mogą temu być 4 latka, odpisała nam policya, że nie wolno nam ani w tym, ani w owym domu, ani w bądźkolwiek innym mieć zgromadzenia: „bo nie ma odpowiedniego dla nas prywatnego lokalu w całej okolicy“. — Patrzcie Kaszubi, jak się nad wami znęcają! a wy im tak się podchlebiacie, że stojąc przed nimi, kurczycie się jak marny robak. — Dopiero na zażalenie nasze do rejencyi królewskiej odpisał nam p. landrat z rozkazu tejże: „iż policya się omyliła!“ I wierz „dummer Polak“, że to prawda! Ażeby się w kółku rólniczem ten „dummer“ Polak za bardzo może nie oświecił, nakazano wszystkim sołtysom z kółka rólniczego wystąpić i to w trzech dniach, jak sam taki ukaz z landratury czytałem.

Ku końcowi pewnego zebrania naszego — słuchajcie, ale powstrzymajcie śmiech, żeby wam brzuchy nie popękały — wyjął żandarm spis i z rozkazu — jak mówił — p. landrata wywołał członków, jak to się w szkole dzieje. Powstało wielkie oburzenie i śmiech. Na co żandarm: „Was lachen die Kerls?“ Na to mu odpowiedziałem: „Oni się śmieją z radości, bo myślą, że pan dla tego wywołujesz, aby się przekonać, kto jest, a kto nie jest na dzisiejszem zebraniu, bo kto jest odbierze, spodziewają się, z landratury markę nagrody“. Myślałem, że okna popękają, taki powstał śmiech i koniec wywoływania! — Widzi Bóg, jak okrutnie się nad nami biednymi Polaczyskami znęcają! Tak się pastwić nad ludem biednym, to już nie woła, lecz krzyczy do Boga o pomstę! Wielka łaska Boska, że Kaszubi jeszcze nie przeszli do obozu socyalistów, będąc zniewalani temi i podobnemi szyderstwami! Lud polski jest bardzo cierpliwym narodem, lecz „dzieci“, „dzieci“ niemieckie, nie igrajcie z ogniem! Czem człowiek grzeszy, tem samem go Bóg karze. Przyszłe pokolenie dzisiejszych Niemców pastwiących się nad nami będzie musiało na sobie grzechy ojców odpokutować!

Na każdem zebraniu Towarzystwa rólniczego (!) bywa żandarm. Dawniej bywało ich czasem aż 2 i powiedziałbyś może: jako odwach bezpieczeństwa dla Rexa — nie bratku: to honorowa straż dla nas Polaków!

„*Dziennik Kujawski*“ (Nr. 40) zamieszcza artykuł następujący pod tytułem: „Obrazek ze szkoły“.

W Miejskiej Górce zawiązało się stowarzyszynie kat. nauczycieli. Na zebraniu wstępnem było ich 13, ale zapisało się na członków tylko 7. Drudzy nie mieli odwagi przystąpić do towarzystwa z obawy przed inspektorem. Jeden z nich przyznał się nawet do tego wyraźnie, mówiąc: „A cóż powie na to inspektor?“

W ogóle żale nauczycieli katolickich, a zwłaszcza polskich na inspektorów nie są nowością. Na całym obszarze ziem polskich pod berłem pruskiem wydobywa się z tysięcy piersi jęk boleści od lat dwudziestu. Jęk ten jest tym boleśniejszy, że nie może się nawet w odpowiedniej formie na zewnątrz ujawnić. Nauczyciele są tak steroryzowani, że ledwie w zaufanych kołach spowiadają się z tego, co im dolega. Zresztą tłumią gorycz w sobie, własnego cienia się lękając.

Czas wielki, żeby rząd nareszcie sprawę tę gruntownie rozstrząsnął i zaprowadził stosunki takie, któreby nauczycielom pozwoliły swobodnie oddychać i czuć się ludźmi. Przecież żyjemy w państwie wysoko ucywilizowanem i w wieku dziewiętnastym, którego cechą ma być uznanie i poszanowanie praw człowieka.

Do czegoż to podobne, gdy nauczyciel drży przed inspektorem jak osowy listek i nie śmie wobec niego mieć własnego zdania? Istnieje rozporządzenie ministeryalne, zezwalające nauczycielom na tworzenie związków katolickich, ale na cóż ono się przyda, jeżeli nauczyciele są przez swych przełożonych do tego stopnia skrępowani, że nie mogą się zdobyć na odwagę, aby z niego korzystać?

Taki okrzyk „a cóż powie na to inspektor“ mieści w sobie bardzo wiele i możnaby cały traktat na ten temat napisać.

Ponure stosunki pochodzą ztąd, że inspektorami są germanizatorowie i protestanci. Niech rząd odda inspekcyą nad szkołami katolickiemi pedagogom katolickim, jak tego słuszność wymaga, to złe zaraz zniknie i nauczyciel przestanie trząść się ze strachu, co z jednej strony wstręt obudza, a z drugiej w rażącej stoi sprzeczności z powagą i zadaniem stanu nauczycielskiego.

„*Orędownik*“ pisze w Nr. 40.

„Szkody, jakie zadała polityka partyi dworskiej powadze duchowieństwa naszego, temu ciepłu religijnemu, którego temperaturę walka kult. u ludności naszej tak wysoko podniosła, są nie obliczone i dopiero później wystąpią one na wierzch. Gwałtowne występowanie niektórych księży za polityką partyi dworskiej skompromitowało ich w oczach ludu. Opinia dość ogólna, że przywódzcą tej polityki, albo że po za tą polityką stoi osoba ks. Arcybiskupa, gnębiła liczne Kościołowi i duchowieństwu naszemu wierne dusze — formalnym uciskiem sumienia. Bo ludzie ci uważali sobie za obowiązek wszędzie zwalczać tę politykę‘ a równocześnie czuli dobrze, że z musu i konieczności walcząc przeciw niektórym księżom podkopują — wbrew swej chęci i woli — w ogóle powagę duchowieństwa całego, a nietylko tego, które bezmyślnie, tylko na rozkazy „Kuryera“ rzucało się w wir walk politycznych. W końcu doszło do tego, że nie można było żadnego zdania przeciwnego wypowiedzieć bez ryzyka, że „Kuryer Pozn.“, „Wielkopolanin“ i „Dziennik Kuj.“, gdy to uznają za stosowne, ogłoszą je jako — „napaść na Kościół, nawet na dogmaty.“ Partyą dworską zawodziły z kolei wszelkie gatunki broni, dla tego jęła pracować teroryzowaniem sumień katolickich. I ta broń musiała zawieść, a za jej nadużywanie księża przypłacają obniżeniem swej powagi kapłańskiej w oczach ludu.“

„*Goniec Wielkopolski*“ pisze w Nr. 36.

„Kilka słów prawdy nie zawadzi nigdy, byleby wypowiedziane w dobrej wierze i miały ogólne dobro na oku.

Na ostatni sejmik powiatowy w Inowrocławiu (5

MAURYCY MAETERLINCK.

W GŁĘBI.

Dramat w jednej odsłonie

(*dla teatrów maryonetkowych*).

Z francuzkiego przełożył

Zygmunt Bytkowski

OSOBY:

W ogrodzie:

STARZEC
OBCY.
MARTA) wnuczki
MARYA) starca.
WIEŚNIAK.
TŁUM.

W głębi:

OJCIEC
MATKA
DWIE CÓRKI
DZIECIĘ
} osoby nieme.

Stary ogród wierzbami zarosły. W głębi dom, którego trzy okna dolne oświetlone. Widać przez nie dość dokładnie rodzinę przy lampie wieczornej zebraną. Ojciec siedzi w kącie koło kominka. Matka, łokieć wsparłszy o stół, patrzy przed siebie. Dwoje młodych dziewcząt, biało ubranych, haftuje, marzy i uśmiecha się w ciszy komnaty. Z głową złożoną na prawem ramieniu matki, śpi obok niej dziecię. Skoro się które z nich poruszy, podniesie lub przejdzie, wydają się ich ruchy poważne, powolne i jakby uduchowione przez odległość, oświetlenie wieczorne i niepewną szyb przesłonę.

(*Starzec i Obcy wchodzą ostrożnie do ogrodu.*)

STARZEC. Otośmy w części ogrodu, za domem się rozciągającej. Nie bywają tu nigdy. Bramy znajdują się po drugiej stronie. Są one zamknięte, a okiennice założone. Lecz z tej strony nie ma okiennic i widziałem też światło... Tak jest; zebrali się w pokoju przed udaniem się na spoczynek. Szczęście, iż nas nie słyszeli. wyszłaby może matka lub która z siószr i cóżbyśmy poczęli?...

OBCY. Cóż poczniemy?

STARZEC. Przedewszystkiem chciałbym wiedzieć, czy wszyscy są w komnacie. Tak jest, widzę ojca siedzącego w kącie przy kominku. Zamyślił się, ręce na kolanach złożywszy... Matka wspiera się o stół.

OBCY. Patrzy na nas...

STARZEC. Nie; ona nie wie, na co patrzy. oczy jej są bez blasku. Nie może nas widzieć, jesteśmy w cieniu rozłożystych drzew. lecz nie zbliżajcie się zbytnio... Obie siostry zmarłej sę także w komnacie. Haftują cicho, a małe dziecię zasnęło. Zegar w kącie wskazuje dziewiątą... Nie domyślają się niczego i nie mówią nic.

OBCY. Gdyby można zwrócić uwagę ojca i dać mu znak jaki? Zdaje się patrzeć w tę stronę. Czy chcecie, bym zapukał w które z okien? Może jedno z nich prędzej usłyszy, niż drudzy.

STARZEC. Nie wiem, co wybrać... Należy zachować wszelką ostrożność... Ojciec stary i słabowity... Matka również, a siostry zbyt młode... A każde ją tak miłuje, jak nigdy już kochać nie będą... Nie widziałem nigdzie rodziny szczęśliwszej... Nie, nie, nie zbliżajcie się do okna, byłoby to gorszem, niż wszystko inne. Należy raczej oznajmić im to w jak najprostszy sposób; jakoby najzwyklejsze zdarzenie, gdyż inaczej ból ich chciałby o lepsze walczyć z waszym i straciłby zupełnie miarę... Chodźmy na drugą stronę ogrodu. Zapukamy do bramy i wejdziemy, jakby się nic nie zdarzyło. Ja wejdę pierwszy. Nie zdziwią się, zobaczywszy mnie; przychodzę nieraz, by im kwiatów lub owoców przynieść i kilka godzin z nimi spędzić.

OBCY. Na cóż potrzeba, bym ja wam towarzyszył? Wejdźcie sami, ja poczekam tu, aż mię zawezwą... Nie widzieli mię nigdy... Jestem jeno przechodzeń, jestem obcy...

STARZEC. Lepiej jest nie być samym. Zła wieść, którą się społem przynosi, nie przeraża tak swą nagością i nie gnębi tak swym ciężarem. Myślałem o tem na drodze... Gdybym wszedł sam, musiałbym mówić od pierwszej chwili, wiedzieliby wszystko po kilku słowach i nie miałbym już nic do powiedzenia, a lęk mnie przejmuje, gdy pomyślę o ciszy,

2. 95.) zjechało się tylko 3-ech, wyraźnie: trzech Polaków! Uprawnionych zaś do głosowania jest 18-tu, wyraźnie osiemnastu obywateli lub Polek w powiecie! Plenipotencye nadesłało osób sześć; Niemców stawiło się przeszło 30-tu.

Z pięciu Polek uprawnionych do głosowania ani jedna nie nadesłała plenipotencyi, tak, iż Niemcy kpili sobie z patryotyzmu i zmysłu ekonomicznego szanownych Kujawianek.

Kiedy się wspomni, że działo się to właśnie na Kujawach, w jądrze niegdyś polskiego życia Wielkopolski, to żal serce ściska i pyta się człowiek: „Czyż poczucie obywatelskiego obowiązku zupełnie już u Was zamarło, że dobrowolnie naginacie karku przed naszymi wrogami — nie znajdując odwagi do wyrażenia własnych pragnień i życzeń.

Doczekamy się może tego, że Kujawy pierwsze będą świadkiem tryumfu germanizacyi!

Straszna odpowiedzialność!“

Do „*Orędownika*“ Nr. 38 donoszą z Środy.

„W naszem Towarzystwie Przemysłowem zjawił się pewien jegomość, który naraz zaczął dąć w trąbę partyi dworskiej. Obdarzyła go natura obliczem wiecznie uśmiechniętem; na wszystkie sprawy polityczne też się uśmiechał tylko i trzech słów z niego wydobyć nie było można. Nikomu do głowy nie przyszło, żeby go takie sprawy w ogóle obchodziły.

Gdy nastała polityka dworska, ów jegomość stał się nagle głośnym politykiem na Środę i okolicę. Co chwila w ruch ludowy uderzy. Na jednem zebraniu ściął się z nim pewien obywatel, członek Towarzystwa, któremu ów jegomość głos chciał odebrać, że sprawy polityczne wciąga w dyskusyą, choć on pierwszy zaczął.

Niedługo potem zaczęły baby gruchać po Środzie, żeby nikt nie chodził do domu, gdzie ów członek Towarzystwa mieszka, bo dom ten będzie wyklęty — księża mają ten dom niedługo wykląć, a wtedy tam niczyja noga nie postanie.

Dodać muszę, że ten jegomość, to nie ksiądz tylko świecki.

Baby w Środzie wierzą, że niedługo nastąpi klątwa.

Przegląd prasy słowiańskiej.

„*Bukowinski Wiedomosty*“, organ partyi staroruskiej takie poświęca uwagi stosunkom panującym wśród Rusinów bukowińskich:

„Nasz naród bardzo biedny, a biedny nietylko dla tego, że wiedzie walkę z głodem, niedostatkiem i biedą, ale i dla tego, że musi walczyć o takie rzeczy, jak język i religią. W naszej konstytucyjnej Austryi, przy naszych ustawach, zaledwie drugi znajduje się naród, któryby potrzebował wieść walkę o każdą literę, ba, o każdy znak, jak Rusini. W naszem stuleciu doprowadziła już wiedza do tego, że tak języka, jak i wiary broni każdy naród i wysoko je ceni. Dla tego też żaden rozumny człowiek nie powinien odmawiać drugiemu prawa mówienia tym językiem lub owym wyznawać tę religię, którą wyznawali nasi ojcowie. Przeciw wierze i narodowości występują w całym świecie złe i przewrotne narody, które chciałyby zniszczyć prawa nadane przez Boga. Przeciw wierze występują u nas socyaliści, nazywający się szumnie radykałami, ale chwała Bogu u nas na Bukowinie oni słabi i dla tego grają rolę dwulicową.

„W kwestyach językowych u nas jeszcze większa bieda. W innych krajach austryackich mają Rusini zupełną niezawisłość. Tam mają jako drugi język krajowy swoje prawa. W Czechach nie znajdziesz urzędu, gdzieby po czesku nie mówiono, tylko w Galicyi wszystko po polsku jak za czasów polskich.

U nas na Bukowinie jeszcze gorzej. Większość urzędników to sami cudzoziemcy, którzy języka ludu nie znają, ale wszędzie mówi się po niemiecku. Z tej racyi musi każdy, choć tego nie potrzebuje, pisać po niemiecku, a urzędy gromadzkie urzędują po niemiecku. Nawet w Bośni i Hercegowinie, które to kraje niedawno przyszły pod panowanie austryackie, większą ma swobodę język serbski, aniżeli my Rusini w Bukowinie.

„Wołosi rozbudzili już poczucie narodowe w swym ludzie, w wielu powiatach rumuńskich piszą już po rumuńsku, ale my na naszej własnej ziemi jesteśmy cudzoziemcami.

„Jest to fakt smutny i bolesny, ale takiemu stanowi rzeczy jesteśmy sami winni, bo własnego języka nie używamy, dobrowolnie się zrzekając praw nam przysługujących.

„Rusin nie pisze po rusku, bo sądzi, że jego język gorszy od innych i uważa się za rasę niższą, upośledzoną.

„Nie tak dzieje się z innymi narodami. Popatrzmy tylko na Polaków. Oni nie tutejsi. Nie ma dowodów, ażeby od dawnych lat Polacy na Bukowinie zamieszkali, a dziś są i mnożą się. Polacy bukowińscy inaczej mówić nie będą jak po polsku. W naszych czerniowieckich restauracyach i kawiarniach, a nawet na ulicach długo trzeba chodzić, zanim usłyszy się ruskie słowo, a po polsku słyszysz wszędzie, jak w Warszawie. Co gorzej, wejdzie Rusinka w służbę do Polaka, nie mówi już po rusku „djakuju“, ale „dziękuję“.

„Nasi nowoerzyści krzyczą, że się rumunizujemy. Nie tak łatwa to rzecz, ale za to polszczą nas Polacy, pod których jarzmo ugięli kark nowoerzyści. Dalej widzimy inne jeszcze niebezpieczeństwo. Dziś okupują się dziedzice Polacy. Razem z nimi przychodzi gromadka polskiej czeladzi; to samo dzieje się z Ormianami zupełnie spolszczonymi. Miejscami stawiają już łacińskie kościoły, kto wie, czy za jakich lat 30 nie będą Polacy żądać dla swego języka równouprawnienia.

„My uznając i oceniając patryotyzm polski nie powinniśmy uważać siebie za niższych, ale z takim samym zapałem praw naszych bronić“.

* * *

Bułgarski dziennik „*Stara Planina*“ rozpisuje się o stronnictwach opozycyjnych w Bułgaryi. Stronnictwo, któremu przewodzi Karawelow, tak charakteryzuje:

„W szeregi opozycyi postawił się i Karawełow, który wyszedł z ciemnicy na mocy ukazu amnestyjnego księcia. Wszyscy spodziewali się po Karawełowie, że wyszedłszy z więzienia wyda do narodu manifest, w którym się oczyści ze zarzutów mu robionych i ustawi program swej przyszłej działalności politycznej. Mimo to nic dotąd w tym kierunku nie zrobił. Oświadczył tylko, że chce wybawić Bułgaryą, że Cankow i Sławejkow niemniej od niego konstytucyę naruszyli, że nie uznaje bułgarskiej inteligencyi, tylko ludność wiejską. Okrom tego nic! Karawełow milczy!

„A dla nas jest rzeczą niezbędną, abyśmy wiedzieli, dokąd chce nas prowadzić. Za owych czasów, kiedy Karawełow był w zgodzie ze Stambułowem i do spółki rządził, pamięta go południowa Bułgarya, gdzie ruch opozycyjny w sposób najbezwzględniejszy stłumił.

„Dziś wszyscy sądzą, że Karawełow z wdzięczności za amnestyą odda się na usługi księcia, a wstąpił do opozycyi jedynie dla tego, że go u rządów nie ma.

* * *

Tomuniecki „*Naszinec*“ pisze o wyborach uzupełniających w powiecie krumlowskiem, gdzie Niemcy dopuszczali się niebywałych nadużyć:

„Przy wyborach uzupełniających do sejmu przeszedł członek stronnictwa liberalnego, pan Rund, li tylko za pomocą fałszerstw, które już wykryto. Wyborcy czescy przeciw tym nadużyciom zaprotestowali, ale protesty te chciała większość sejmu morawskiego, która jest po stronie Niemców jako nieuzasadnione odrzucić. Wyborcy zwrócili się więc do sądów, które w sprawie tej zarządziły śledztwo. Rezultatem śledztwa było, iż więcej aniżeli sto głosów zostało sfałszowanych. Głosy te padły na kandydata czeskiego, lecz zapisano je kandydatowi niemieckiemu. Za fałszowanie dokumentów pociągnęły sądy wiele osób do odpowiedzialności. Poseł pan Rund widział się więc zmuszonym złożyć swój mandat.“

* * *

---

która po ostatnich słowach złej wieści nastąpi... Wtenczas to serce się zakrwawia. Jeśli wejdziemy razem, powiem im naprzykład, po długich wstępach: znaleziono ją tak i tak... Płynęła rzeką, a ręce miała razem złożone...

OBCY. Jej ręce nie były razem złożone; ramiona jej zwisły wzdłuż ciała.

STARZEC. Widzicie zatem, iż mówi się mimowoli... i nieszczęście gubi się w szczegółach. Gdybym wszedł sam, po pierwszych słowach, o ile ich znam, przerażenie wszechwładnieby nad nimi zapanowało i Bóg wie, coby nastąpiło... Jeśli zaś mówić będziemy powoli, od jednego do drugiego przechodząc, słuchać nas zechcą i czasu nie będą mieli oko w oko nieszczęściu spojrzeć. Nie zapominajcie, iż matka tam będzie, i że jej życie na włosku niemal wisi. Dobrze jest, gdy pierwsza rozpaczy fala o słowa błache się rozbije. Potrzeba, by mówiono dokoła nieszczęśliwych i otoczono ich. Najobojętniejsi nawet biorą część ciężaru na swe barki, sami o tem nie wiedząc. W ten sposób rozdziela się boleść cicho i nieznacznie. Jak powietrze i światło.

OBCY. Szaty wasze są mokre, spływa z nich woda po kamieniach.

STARZEC. Spód mego płaszcza jedynie się zamoczył w wodzie. Wam zimno zdaje się. Pierś wasza zawalana ziemią. Nie spostrzegłem tego na drodze w ciemności.

OBCY. Wszedłem aż po pas w wodę.

STARZEC. Czyście ją już dawno przed mem nadejściem znaleźli?

OBCY. Na kilka chwil zaledwie. Szedłem ku wsi, było już późno i w jarze ciemniało. Idąc, miałem oczy na wodę zwrócone, gdyż jaśniejszą była od ścieżki, gdym oto na dwa kroki od pęku sitowia przedemną, coś niezwykłego zobaczył... Zbliżam się i spostrzegam jej włosy, które się jakoby kołem ponad jej głową roztoczyły i tak z prądem wirowały...

(*W komnacie dwoje dziewcząt głowy ku oknu zwraca.*)

STARZEC. Czyście widzieli, jak włosy na ramionach obu sióstr zadrżały?

OBCY. Odwróciły głowy ku naszej stronie... Odwróciły poprostu głowy. Mówiłem, być może, zbyt głośno. (*Obie siostry wracają do dawnej postawy*). Ale teraz już się nie patrzą... Wszedłem w wodę aż po pas i mogłem ją ująć za rękę i wyciągnąć na brzeg bez trudności... Była tak piękną, jak siostry...

STARZEC. Była może piękniejszą... nie wiem, dla czego straciłem całą odwagę...

OBCY. O jakiej odwadze mówicie? Uczyniliśmy, co w ludzkiej było mocy... Od godziny już przeszło nie żyła.

STARZEC. Dziś rano żyła jeszcze! Spotkałem ją, wychodząc z kościoła. Powiedziała mi, że się w podróż udaje; wybierała się odwiedzić babkę, mieszkającą po drugiej stronie rzeki, w którejście ją znaleźli. Mówiła, że nie wie, kiedy ją znowu zobaczę. Chciała zdaje się zapytać o coś, potem straciła odwagę i odeszła nagle. Ale teraz mi to jasne,.. A jam nic nie spostrzegł... Uśmiechała się, jak się uśmiechają ci, co się z czemś tają, lub ci, co się lękają, by się czegoś nie dorozumiano. Zdawała się już nie mieć żadnej nadziei... Jej oczy były bez blasku i nie patrzyły prawie na mnie.

OBCY. Wieśniacy mówili mi, że ją aż do wieczora widzieli nad brzegiem błądzącą. Myśleli, że zbiera kwiaty... Możebne, że śmierć jej...

STARZEC. Kto wie? I cóż tu wiedzieć można? Należała widocznie do tych, co w sobie wszystko kryją, a każdy z nas więcej, niż jeden nosi ze sobą powód do zerwania z życiem... W duszę nie patrzy się tak, jak w tę oto komnatę. Wszystkie one takie... Nie mówią, krom rzeczy zwyczajnych i nikt się niczego nie domyśla... Miesiącami się obok kogoś żyje. co już nie z tego świata i którego dusza już się zawrócić nie da; odpowiada mu się, lecz nie ma podejrzenia i oto patrzcie, co się dzieje... One zdają się, jakoby lalki nieruchome, a tyle rzeczy przechodzi ich duszę... Same nie wiedzą, czem są... I onaby żyła, jak żyją inne. Mówiłaby aż do samej śmierci: „panie, pani, deszcz będzie padał dzisiaj rano“, albo: „idziemy śniadać, będzie nas trzynastu przy stole“, albo też: „owoce nie są jeszcze dojrzałe“. Z uśmiechem mówią o kwiatach, co opadły, a w ciemności łzy

Tygodnik serbski „*Makedonija*“, który wychodzi w Białogrodzie i wyłącznie jest poświęcony sprawom serbskim w Macedonii i Staroserbii, gdzie serbska narodowość wypieraną bywa przez Bułgarów, tak się o stosunkach w Macedonii rozpisuje:

„Wszędzie trzymają się Serbowie swojego prastarego obyczaju, dbają o czyste imię i mają w pamięci świetną przeszłość narodową, tylko główny agitator bułgarski, egzarcha w Carogrogrodzie, sądzi o nas Serbach inaczej, nazywając Serbów macedońskich poganami. Jego sekretarz i pomocnik w dziele wynarodowienia Serbów, pan Szopow, chce koniecznie dowieść, żeśmy Bułgarami, a przecież wie dobrze, że staroserbska Prilipa była rezydencyę króla Marka. Bułgarom pomagają obecnie urzędy tureckie, ale my mamy wiarę w sprawiedliwość jego sułtańskiej Mości Abdul-Hamid-Hana II“.“

K.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Ludność Królestwa polskiego.

I.

Nie możemy uskarżać się na brak danych o rozwoju ludności Królestwa Polskiego, chociaż dotąd u nas, jak i w całem państwie rosyjskiem, właściwego spisu ludności nie było. Obliczenia opierają się przeto zawsze na t. zw. księgach ludności i wskutek tego wykazują wciąż te same braki, ale jednocześnie i znaczną jednolitość momentów statystycznych, które uwydatnić można, a więc materyał do porównań niemal za całe stulecie. W. Załęski zebrał ogólne cyfry ludności od r. 1816 aż do 1874, autorowie tacy jak Rodecki, Zawilejski, Wolski, Obruczew, Suworin, dają nam szczegółowszy przegląd ludności za pojedyncze lata, wreszcie dla roku 1890 i 1893 posiadamy niedawno wydany materyał, opracowany przez warszawski komitet statystyczny według tych samych źródeł i podobnych zasad jak i poprzednie cyfry.

Korzystając z tego materyału, ocenić tedy możemy, jak się rozwijał liczebnie najważniejszy czynnik gospodarczy i społeczny w kraju naszym, jak dzielił się na miasta, osady i wsie w niektórych okresach naszego stulecia, jak zmieniały się liczebne stosunki oddzielnych wyznań, narodowości i płci, jakie było rozsiedlenie i skupienie ludności, względnie do guberni i powiatów. Brak tu przecież wszelkich danych o podziale ludności, co do wieku i zajęć, bez czego ocenić nie możemy ekonomicznej wartości zaludnienia. Trudno nam orzec, czy pomimo względnie szybkiego przyrostu, zwiększa się procent ludności produkcyjnej, a więc w latach, w których ona myśleć może o zaspokojeniu potrzeb własnych, oraz o wychowaniu młodszego pokolenia i przeżywieniu starszego, które już nie jest zdolne do pracy. Co do zajęć istnieją już częściowe lub przybliżone dane, jak np. obliczenia ludności rolnej dla guberni suwalskiej, albo robotników fabrycznych, z czasem zaś spodziewać się można, nawet przy dziś przyjętej metodzie statystycznej, przybliżonych przynajmniej obliczeń dla całego kraju. Podział według wieku jednak przeprowadzić się inaczej nie da, jak przy spisie ludnościowym, gdyż w księgach oprócz urodzeń, zapisywane są również zmiany miejsca pobytu, najpracowitsze przeto obliczenia nie potrafiłyby oddzielić tu ziarna od plewy, a w samej nawet cyfrze ludności omyłek spodziewać się trzeba. Rozpatrzmy przecież materyał posiadany.

Ludność z 1816 r. podaje Załęski na 2,717.287. W 1893 roku wzrasta ona do 8,808,969, czyli przyjąwszy pierwszą cyfrę za 100 podnosi się w ciągu lat 77 do 325, a więc wykazuje wzrost ogromny, znacznie większy od przeciętnej ludności europejskiej w tym samym czasie, jakkolwiek ostatni w stosunku do okresów wcześniejszych wydaje się zastraszającym dla demografów.

W ciągu całego wspomnianego okresu cyfra ludności spadła tylko dwa razy. W 1830 i 1831 roku ubywa 375,631 osób, między 1847 a 1855 zmniejsza się o 193,260, czyli rocznie o 0,4 na 100. Po za tem wzrost ludności Królestwa jest szybki, jakkolwiek podlega wielu wahaniom. Tak np.:

W okresie	1816—1829	r. przyrost roczny	3,3	proc.
„ „	1831—1846	„ „	1,7	„
„ „	1856—1862	„ „	0,9	„
„ „	1862—1873	„ „	2,4	„
„ „	1873—1893	„ „	1,9	„

Dość rzucić okiem na powyższą tablicę, aby dostrzedz niestałość rozwoju zaludnienia. Są to stosunki właściwe wiekom wcześniejszym od XIX, oraz okresom zmian i niepokojów politycznych, które się wyrażają w niejednakowych odsetkach liczebnego zwiększania się mieszkańców. Jakkolwiek więc szybki wzrost świadczy o żywotności plemienia polskiego, które niemal wyłącznie kraj tutejszy zamieszkuje, zmiany polityczne odbiły się wyraźnie na typie ludności.

Warto jeszcze zwrócić uwagę na ostatnie trzy lata okresu najnowszego., jako nam najbliższe. Przyrost roczny wynosi w tym czasie 2,2 proc., tak, że zaludnienienie z 73,7 osób na wiorstę kw. wzrasta do 78,7.

Co do względnego zaludnienia pojedyńczych gubernii, to w ciągu ostatnich trzech lat nie ulega ono znacznym zmianóm. Zawsze 4 gubernie przemysłowe posiadają zaludnienie najgęstsze; najmniejsze zaś gubernie północne, czysto rólnicze; wzrasta ono najszybciej w okolicy dwóch wielkich miast: Warszawy i Łodzi, najwolniej zaś w guberniach czysto rolnych. Według gubernii przedstawiała się ludność w następujący sposób: Na wiorstę kwadratową wypadało głów:

Gubernie	w 1890 r.	w 1893 r.
Warszawska	110,9	122,4
Piotrkowska	101,0	111,9
Kaliska	82,4	87,2
Kielecka	79,0	81,1
Lubelska	67.4	72,1
Radomska	66.9	72,0
Płocka	64,3	66,3
Łomżyńska	56,8	59,2
Siedlecka	53,6	57,3
Suwalska	54,3	55,4

W 1890 r., tedy cztery gubernie miały ludność większą niż średnią, a jakkolwiek owa średnia cyfra się zmienia w 1893 r., stosunek pojedyńczych gubernii do niej pozostaje ten sam, jak poprzednio. Jeżeli zaś porównamy nasze cyfry z temi, które podaje Obruczew dla 1866 r.. okaże się, że najwięcej wzrosła znów ludność gubernii przemysłowych, a więc warszawskiej, zwłaszcza samej Warszawy i piotrkowskiej, którą autor powyższy stawia na 6-tem miejscu. Zaludnienie średnie Królestwa zaś było w 1866 r. 47,5 osób na wiorstę kw., wzrasta więc niemal w dwójnasób w niespełna trzydziestu latach.

Różnice zaludnienia odrębnych okolic występują najwyraźniej przy rozpatrywaniu pojedyńczych powiatów. Nie mówiąc już o warszawskim i łódzkim, gdzie nagromadziła się ludność z powodu wielkich miast, najwięcej zaludnione powiaty są te, w których rozwinął się jakikolwiek przemysł. A więc będziński z powodu kopalni (149,6 mieszkańców na 1 wiorstę kw.), błoński dzięki skupianiu się ludności robotniczej w Żyrardowie (102,8 mieszk. na 1 w. kw.) olkuski i miechowski po 90. Jak to już mieliśmy kiedyś sposobność zaznaczyć, skupienie się ludności rolnej nie ustępuje ogółow

---

leją. Aniołby nawet nie spostrzegł, co widzieć należy, a człowiek widzi dopiero, gdy cios spadnie. Wczoraj wieczorem siedziała tu przy tej lampie, jako i jej siostry, i nie patrzylibyście dzisiaj na nich tem okiem, jakiem na nich patrzeć należy, gdyby się to nie było wydarzyło. Zdaje mi się, jakobym ich oto po raz pierwszy widział... Potrzeba do życia codziennego coś dodać, by je módz zrozumieć... One żyją obok was dzień i noc, a ich nie poznajemy, aż w chwili gdy na zawsze odchodzą... A jednak, jakże niezwyczajną duszyczkę nieboga mieć musiała; jakżeż prostą a biedną i och, jak przebogatą zarazem duszyczkę musiało mieć to dziecię kochane, gdy mówiło, co mówić należało — a czyniło, co uczynić musiało!

PBCY. W tej chwili uśmiechają się cicho w komnacie.

STARZEC. Są spokojni... Nie oczekują jej dziś z powrotem...

OBCY. Uśmiechają się nieruchomi... Ale oto teraz ojciec palec do ust przykłada...

STARZEC. Wskazuje na dziecię śpiące u matczynego łona.

OBCY. Matka boi się oczu podnieść, by snu dziecka nie spłoszyć.

STARZEC. Już nie pracują. Wielka cisza nastała.

OBCY. Upuściły na podłogę zwój białego jedwabiu.

STARZEC. Przypatrują się dziecięciu.

OBCY. Nie wiedzą, że i im się przypatrują.

STARZEC. I na nas ktoś patrzy.

OBCY. Podnieśli oczy.

STARZEC. A przecież nic widzieć nie mogą...

OBCY. Wydają się szczęśliwymi, a oto, jakże mało się wie...

STARZEC. Zdaje im się, że im nic nie grozi. Zamknęli bramy a okna w żelazne zaopatrzyli zapory. Wzmocnili mury starego domu, u trzech bram dębowych poumieszczali wrzeciądze. Przewidzieli wszystko, co się da przewidzieć...

OBCY. Należy wreszcie skończyć i powiedzieć im... Mógłby im kto jeszcze nagle i nieoględnie to oznajmić. Wielki tłum włościan zgromadził się na łące, gdzie leży zmarła. Gdyby który z nich teraz do bramy zapukał...

STARZEC. Marta i Marya są przy biednej zmarłej. Wieśniacy oddalili się, by sporządzić nosze z gałęzi i liści — a powiedziałem starszej, by mię przybiegła uprzedzić z chwilą, gdy rozpoczną pochód. Czekajmy, aż przyjdzie, będzie mi towarzyszyła. Nie moglibyśmy tak się przypatrywać... Sądziłem, iż przyjdzie jeno zapukać do bramy, wejść spokojnie, zacząć od tego i owego i powiedzieć... Lecz zbyt długom ja już ich tak widział, przy ich lampie...

(*Wchhodzi Marya.*)

MARYA. Idą, dziadku.

STARZEC. To ty? Gdzie są?

MARYA. Są u stóp ostatnich pagórków.

STARZEC. Czy się będą cicho sprawiali?

MARYA. Powiedziałam im, by się po cichu modlili. Marta jest z nimi.

STRZEC. Czy jest ich wielu?

MARYA. Cała wieś jest z nimi. Przynieśli światła. Kazałam je pogasić.

STARZEC. Którędy idą?

MARYA. Bocznemi ścieżkami. Zbliżają się powoli.

STARZEC. Czasu dość...

MARYA. Czyś im już powiedział, dziadku?

STARZEC. Widzisz przecież, żeśmy im jeszcze nic nie powiedzieli. Siedzą jeszcze spokojnie przy lampie... Patrz, patrzże, moje dziecię, zobaczysz coś z życia...

MARYA. Ach, jakże spokojni się być zdają! Myślałbyś, że to senne zjawienie...

OBCY. Uważajcie, widziałem, jak obie siostry zadrżały.

STARZEC. Wstają.

OBCY. Idą zdaje się do okien...

(*Jedna z sióstr, o których mowa, przystępuje w tej chwili do pierwszego okna, druga do trzeciego, przyłożywszy równocześnie ręce do szyb patrzą długo w ciemność.*)

STARZEC. Nikt się nie zbliża do okna środka.

MARYA. Patrzą... Słuchają...

mieszkańców powiatów z wyjątkiem warszawskiego, który pod względem ludności ogólnej zajmuje pierwsze miejsce (492 m. na 1 w. kw.) co zaś do rolnej — trzecie (109,8 m. na 1 w. kw.)

Z nowszych obliczeń tylko ostatnie dzieli ludność na mieszkańców miast, wsi i osad, pozwala przeto ocenić właściwy procent miejskiej. Zaliczyć do niej można niemal powszechnie ludność osad, której skład (znaczna liczba pierwiastku żydowskiego,) oraz zajęcia wskazują charakter miejski. Pod względem skupienia w miastach ludności z 1893 r. porównać można ze stosunkami z 1869, t. j. ocenić zmiany zaszłe w ciągu ostatnich lat dwudziestu pięciu.

Ludność miast i osad w Królestwie wynosiła w 1869 r. 1,530,126 głów, a więc 25,3 proc. całej, w 1893 roku wzrasta ona do 2,377,238 czyli do 27 proc. Ten przyrost 2 na sto ludności miejskiej w porównaniu z innymi krajami Europy, jest powolnym. W Anglii np. ludność miejska wzrastała w następujący sposób: w 1851 r. — 51 proc., w 1881 r. — 59,6 w 1890 — 70 proc. ogółu. We Francyi ludność miast powyżej 20,000 mieszkańców rosła również w znacznie szybszem tempie. Tak n. p. przyjąwszy ją w 1801 r. za 100, w 1836 roku ocenić musimy na 148, w 1866 na 283, wreszcie w 1886 na 358. Ani w Anglii zaś, ani tem mniej we Francyi, stopa przyrostu ludności wogóle nie jest tak znaczną, jak w naszym kraju.

Przecież i ów nieznaczny przyrost wskazuje, że nie możemy uchylić się od ogólnego prawa skupiania się ludności po miastach. Wyłączając osady, dochodzimy do podobnych rezultatów; ludność samych miast stanowiła bowiem 16,6 proc. w 1869 r., a po dwudziestu pięciu latach 18,1. Owo podobieństwo w skupianiu wskazuje znów analogiczny charakter miast i osad. Z gubernii pojedyńczych w obu krańcach rozpatrywanego dwudziestopięciolecia najwyższe odsetki w miastach, wykazuje Warszawa. Ludność miejska (włączając i osady) wynosiła 43,2 i 43,5, a więc wzrosła właściwie tylko ludność miast (z 34,7 do 38,8 na 100), w osadach zmniejszyła się. W gub. piotrkowskiej uwydatnia się to tamo zjawisko, tylko, że tu wzrost ogólny jest zadziwiająco wielki. Z 610 i pół proc. tys. w 25 latach rośnie do 1,209,380, ludność miast i osad zaś od 178 tysięcy do 278,554, a więc jakkolwiek wolniej od ogólnej, przecież z 24,5 na 33 proc. Na trzeciem miejscu stoi gubernia płocka, która przed 25 laty zajmowała jedno z ostatnich. Ludność miejska wzrasta w niej z 12 proc. na 20, co zadziwić musi w gubernii par excellence rolniczej. Zwrócić również uwagę należy na gub. kaliską, w której ludność miejska wzrasta wolniej niż ogólna. Cała ludność zwiększyła się niemal o trzecią część, miejska zaś tylko o 26 tysięcy, a więc prawie o szóstą.

Miasta i osady też, jak się tego spodziewać należało, gromadzą przeważną część ludności niestałej, a więc mieszkańców Królestwa, którzy opuścili miejsce urodzenia. Liczba ich w 1893 r. wynosiła 977,331 11,1 proc. ogółu. Według miejsca zamieszkania stanowią oni 29 proc. całej ludności miejskiej, 6,2 proc. osadn., a 7,1 wiejskiej. Tak więc siła przyciągająca miast znajduje tu ilustracyę, wszędzie bowiem w okolicach miejskich odsetki ludności niestałej są wyższe, niż średnie dla całego kraju. Po za tem na ludność niestałą wywiera jeszcze wpływ bliskości granicy zachodniej, co wyraża się np. w powiecie nieszawskim. Bliższych szczegółów o tych wewnętrznych wędrówkach nie posiadamy, jasnem jest przecież i z cyfr ogólnych, że okres zastoju ekonomicznego już przeszedł, a ludność świadomie dobiera sobie najodpowiedniejsze miejsca zamieszkania.

S. Z. Dański.

LITERATURA I SZTUKA.

Witold Pruszkowski.

(Ciąg dalszy.)

Cały kraj znał ten obraz, jeżeli nie z oryginału, to z pomniejszonej, a więc niedającej dokładnego wyobrażenia, a i tak jednak jeszcze pięknej, reprodukcyi oleodrukrukowej dołączonej jako premium do warszawskich „Kłosów“. Rzeczy tak fantastycznej, tak efektownej nigdy zapewne przedtem na salach wystawy krakowskiej i warszawskiej nie widziano. Ta Eloe z tumanów śniegu, z mgieł i łamań światła stworzone, ten biały śnieg poczerwieniony łuną zorzy północnej, ten pożar chmur, pełen piękna i grozy, były takie piękne, takie wyrwane z krainy czystej fantazyi, że na obraz patrzano, jako na zjawisko niezwykłe, niespodziewane.

Opowiadano, że kiedy Matejko, będąc na wystawie, zatrzymał się przed „Anhellim“, długo mu się przypatrywał, a wreszcie, wobec paru obecnych swoich uczniów, czynił nad nim rozmaite krytyczne uwagi. Skończył rzecz swoją słowami „wszystko to prawda, com powiedział, ale i to prawda, że nie wiem, kto drugi umiałby taki obraz wymalować. Życzę panom serdecznie, aby który z was zdobył się na coś podobnego...“

Twórca „Anhellego“ był już żonatym. Garstce jego najbliższych kolegów i przyjaciół nie wyjdą zapewne z pamięci jego przenosiny w kilka dni po ślubie na Wolę Justowską. Nie wyobrażał sobie miesiąca miodowego, spędzonego gdzieindziej, jak na wsi, zdala od miasta, wśród ukochanego przez siebie ludu. Wynajął przeto chatę włościańską i huczne do niej odprawiał przenosiny. Naturalnie był na tej uroczystości i wójt z Woli i sąsiedni gospodarze, z którymi już zawiązał stosunki i wreszcie kum Łyskacz z Mogiły. Widocznie w tych sferach już go rozumiano, bo panowie „sąsiedzi“ drogę z gościńca do zagrody wysypali makami i bławatami.

Na przenosinach znajdował się i Stanisław Lipiński, najpoetyczniejszy z naszych rzeźbiarzy. Przypominam sobie twarz jego pełną bólu, bladą, zapadłą, z czołem pooranem troskami, z czarną, rozchwianą brodą, z długiemi włosami, w tył spadającemi. Była to głowa prosząca się, aby ją umieścić na pierwszym planie obrazu, przedstawiającego którą z męczeńskich kart naszych dziejów porozbiorowych. Bo też Lipiński i był męczennikiem. Kiedy wybuchło powstanie sprzedał swój mająteczek, za otrzymane pieniądze uzbroił oddział konnicy i ruszył w pole na czele tego oddziału. Nie tu miejsce opisywać udział jego w powstaniu, uczyniłem to zresztą kiedyindziej. Dość, że po kilku miesiącach ciągłych utarczek, schwytany przez Moskali, dzięki jedynie temu, że nie wiedziano, iż był dowódzcą, nie poszedł na szubienicę, ale był zesłany na Sybir, zkąd przywiózł ze sobą zarody suchot. Złożył więc na ołtarzu ojczyzny ofiarę ze swego majątku, krwi i z życia. Jego „Opuszczona“ była jednem z najpiękniejszych dzieł dłuta polskiego i jedyna tylko z rzeźb polskich otrzymała nagrodę na powszechnej wystawie wiedeńskiej 1873 roku. Nie wiem kto jest w posiadaniu prześlicznej jego płaskorzeźby „Głowa Madonny“. „Kalinę“ i „Jaśka“ posiada prof. Henryk Jordan. W Sukiennicach prześliczne jego główki ozdabiają kilka kapiteli. Prawy, zacny, szlachetny, oddany całą duszą sztuce i narodowym ideałom. Kiedym go poznał na przenosinach Pruszkowskiego, zbliżał się powoli ku grobowi. Zmarł w niedostatku w r. 1872, zastawiona w Paryżu za kilkaset franków jego „Opuszczona“ nie przeżyła swego twórcy, nie docze-

---

STARZEC. Starsza uśmiecha się do tego, czego nie widzi.

OBCY. A druga ma oczy pełne lęku.

STARZEC. Patrzcie, człowiek nie wie o niczem nawet w chwili, gdy dusza już około niego się unosi.

(*Długie milczenie. Marya tuli się do starca i obejmuje go.*)

MARYA. Dziadku!

STARZEC. Nie płacz, dziecię moje... i na nas kolej przyjdzie!

(*Milczenie.*)

OBCY. Patrzą długo...

STARZEC. Chociażby nawet sto tysięcy lat tak patrzały, nicby nie zobaczyły, biedne siostrzyczki... Noc zbyt ciemna. Patrzą w tę stronę, a z tamtej oto nieszczęście nadciąga.

OBCY. Szczęście, że w tę stronę patrzą. Nie wiem, co się tam czerni od strony łąk.

MARTA. To zdaje się tłum... Są tak daleko, że ledwie ich widać.

OBCY. Zjawiają się i znikają na fali wzgórz. Oto teraz znów się ukazują na uboczu, połyskującem, jak księżyc.

MARYA. Och! jakże wiele ich się zdaje... Kiedym przyszła, zbiegli się już z przedmieścia. Robią wielkie koło.

STARZCC. Nadejdą mimo wszystko, już i ja ich widzę... Przechodzą właśnie przez łąki. Zdają się tak mali, że ich zaledwie dojrzeć można wśród ziela. Rzekłbyś, dzieci małe, co się bawią przy świetle księżyca: nawet gdyby ich widziały, nie wiedziałyby, co to jest... I cóż im z tego, że odwrócone są od nich, oni zbliżają się przecież za każdym krokiem, nieszczęście przecież rośnie a rośnie od dwu już przeszło godzin. Nie powstrzymają wzrostu jego i ci nawet, co je przynoszą, zatrzymać go już nie mogą. Ono i nad nimi panuje i słuchać go muszą... Ono ma swój cel i drogę swoją... Jest ono niestrudzone i jedną tylko myśl ma. A oni muszą swe siły oddać w usługi. Są pełni smutku, a jednak idą... Litują się, a zbliżać się muszą...

MARYA. Starsza nie uśmiecha się już dziadku...

OBCY. Odchodzą od okien.

MARYA. Obejmuje matkę...

OBCY. Starsza pogłaskała włosy dziecięce a ono się nie zbudziło...

MARYA. O! patrzcie i ojciec chce, by go uściskały.

OBCY. A teraz milczenie.

MARYA. Wracają do matki.

OBCY. A ojciec ściga oczami wielkie wahadło zegara.

MARYA. Rzekłbyś, że one się modlą, nie wiedząc, co czynią.

OBOY. Rzekłbyś, iż się swym duszom przysłuchują

(*Milczenie.*)

MARYA. Dziadku, nie powiedz im dziś tego...

STARZEC. Widzisz i ty tracisz odwagę... Wiedziałem dobrze, iż nie należało im się przypatrywać. Osiemdziesiąt trzy lat już blizko żyję, a oto raz pierwszy widok życia mię przeraża. Nie wiem, czemu mi wszystko, co czynię, tak jest niezwyczajnem, tak wagi pełnem się wydaje. Zebrani przy swej lampie, czekają nocy, całkiem zwyczajnie, jakbyśmy jej przy naszej lampie czekali, a jednak mnie się wydaje, jakobym ich z wysokości innego widział świata, dla tego jedynie, że maleńką jedną znam prawdę, której oni jeszcze nie znają. Czyżby to były moje dzieci? Powiedzcież mi, dla czegośmy tak bladzi? Jestże w tem może jeszcze inna rzecz jaka, której nazwać nie można, a która jednak łzy nam do ócz ciśnie? Nie wiedziałem, że są na świecie rzeczy tak strasznym smutkiem a lękiem na duszę się kładące... I nic zajść nie mogło, czegobym tak się lękał, jak to, że ich tak spokojnymi widzę... Nadto temu światu ufają. Oto siedzą tam od wroga oddzieleni biednemi temi oknami. Zamknęli bramę i myślą, iż nic już im zdarzyć się nie może, a nic wiedzą, iż w duszy wiecznie coś nowego się zdarza i że świat się u bram domu nie kończy... Tak pewni są swego cichego życia, a nie przeczuwają nawet, że tyle innych więcej coś wie o tem i że ja, biedny starzec, oto tu, o dwa kroki od ich bramy, w powiędłych mych rękach, całą ich

kała się marmuru; rozbito ją przy ustawianiu, czy przenoszeniu. Ot! dola rzeźbiarza-artysty co nie umiał się kłaniać i prosić o reklamę, co oddawszy wszystko swemu społeczeństwu otrzymał w zamian zapomnienie...

Powyższy ustęp o Lipińskim wtrąciłem ze względu, że łączyły z nim Pruszkowskiego najserdeczniejsze przyjacielskie stosunki.

* * *

Ciekawym, czy pomiędzy historykami i krytykami naszej sztuki jest ktoś taki, coby notował sobie o ile możności każde dzieło, wychodzące z pracowni naszych artystów. Bez takiego „spisywacza“ trudno będzie z czasem skatalagować utwory polskiego pędzla, dłuta lub ołówka; przepadnie ich większa część w otchłani niepamięci i ztąd będziemy mieli całkiem niedostateczne wyobrażenie o udziale naszym w zakresie twórczości piękna plastycznego. Niejeden prawdziwy klejnot zaginie w braku takiego inwentarza skarbca sztuki narodowej.

Oto i teraz pragnę wyliczyć cały dorobek artystyczny Pruszkowskiego, a czuję to dobrze, iż, pomijając już drobne szkice, portrety, rysunki, pastele, nie będą w stanie objąć pamięcią nawet połowy większych obrazów olejnych Pruszkowskiego.

Odrazu już nie wiem, czy malował jaki obraz za swego pobytu w Monachium. Z krakowskich czasów „Piasta“ i obrazu „Kiedy ranne wstają zorze“, przypominam sobie jedynie głowę Chrystusa, który, nawiasem mówiąc, czynił wrażenie nie Boskiego nauczyciela, lecz jakiegoś potężnego siłą fizyczną i mocą moralną przywódzcę mas ludowych.

Później jest luka w mojej pamięci aż do „Rusałek“, choć parę lat minęło pomiędzy niemi a poprzedniemi obrazami. Obrany temat pojął Pruszkowski całkiem odmiennie, niż artyści, którzy go przedtem dotykali. Był tego zdania, bardzo zresztą słusznego, że malując wierzenia, fantazye ludowe, trzeba na nie patrzeć z punktu wyobraźni ludu, stosując się do pojęć dla niego przystępnych. Więc wśród pięknego, księżycowego wieczoru, w gęstwinie trzcin i szuwarów, ponad któremi wznosił się pień starej, wierzby, torowały sobie drogę nie jakieś wychuchane piękności, półziemskie nagie boginki, o wyidealizowanych kształtach ciała, lecz dwie tęgie, zdrowe, w ukraińskich ubiorach mołodyce, U stóp pierwszej leżała ofiara rusałczanych uroków. Znawcy unosili się nad „Rusałkami“, zwłaszcza nad krajobrazem...

Po „Rusałkach“ musiało pójść parę innych kompozycyi, ale pamięć moja zatrzymuje się dopiero na „Anhellim“. Równocześnie prawie z nim wystawił Pruszkowski „Madaja“. Oba te obrazy pochodzą, zdaje się, z roku 1880. O „Anhellim“ już wyżej wspomniałem, „Madaj“ mimo świetnego malowania nie podobał się. Legendowy pokutnik, z czarnem, jakby porosłem korą ciałem, raził realizmem — za to jabłoń. której owoce zamieniały się w gołąbki, nęciła oko, zdumiewała świetnością kolorytu.

Świetny pejzaż zimowy był na „Wilkołaku“; pejzaż ten był właściwie treścią obrazu, wilkołak tylko sztafażem.

Prześliczne gazy, tiule, kwiaty oblane strugami światła słonecznego, zachwycały widzów w „Janie Kochanowskim przy trumience Orszulki“, ale sam Jan Kochanowski był sztywny, a Orszulka jako trupek zbyt realistycznie pojęta. Jeden z krytyków napisał, że „powiedziałby co o tym obrazie, ale odpycha go on, jako człowieka delikatniejszych uczuć“.

Za to „Umizgi“, wymalowane w roku 1883, pozwoliły patrzeć na siebie nawet ludziom „uczuć delikatniejszych“. Artysta umieścił przy studni dwie wieśniacze postacie: parobka i dziewuchę. w naturalnej wielkości. Umyślnie stworzył sobie wielką trudność, bo trzy czwarte obrazu zajmowała biała, jednostajna swą białością sukmana i ciemno-różowa spodnica dziewczyny. Z tej monotonności barw wyjść zwycięzko, położyć takie dwie wielkie „plamy“, nie nużąc oka patrzących, było zadaniem nie łatwem, któremu jednak artysta sprostał w zupełności.

Zdaje mi się, że zaraz po „Umizgach“ pojawiła się „Sielanka“, jeden z najpiękniejszych obrazów Pruszkowskiego Pod rozłożystą wierzbą pastuszek, leżąc na murawie, grał na fujarce, a dziewczę, wracające z dzbankiem wody, usiadło i słuchało tego koncertu. Akcya bardzo prosta, ale ileż było w niej poezyi, jak ślicznym był krajobraz, co za nieporównany ton w kolorycie zapadającego wieczoru wiosennego! „Anhelli“ imponował wszystkim, „Sielanka“ przemawiała więcej tylko do dusz artystycznych. Sam artysta musiał ukochać „Sielankę“ kiedy jej nie sprzedał, lecz złożył ją w darze swojej matce.

Czystą fantazyą była „Gwiazda spadająca“. Na tle gwiaździstego nieba naga postać kobieca leciała na dół, z głową schyloną ku ziemi. Artysta znowu chciał pokonać trudności, polegające na śmiałych skróceniach ciała. Niejeden pytał: co to jest? lecz zaraz dodawał: ale przecież to piękne, oryginalne, fantastyczne.

Drugą fantazyą była „Wiosna“. Na obrazie były dwa pejzaże i dwie postacie kobiece. Wśród zimowego pejzażu zarysowała się martwa, jakby ze śniegu i lodu ulepiona postać „zimy“ tającej, topniejącej pod silnemi promieniami słońca, padającemi jej na twarz. Nagle ten zimowy pejzaż przemieniał się w wiosenny, pełen woni, kwiecia i zieloności, na którego tle młoda dziewczyna, o ciele jędrnem, świeżem, tchnącem młodością, rzucała ciekawie na świat oczami wesołemi, upajała się życiem, powietrzem, przeczuciem zbliżającej się rozkoszy. Była to „Wiosna“, wyszła z kolebki kwieciem umajonej.

„Sen na kwiatach“ wywołał silne zarzuty. Artysta, lubujący się w trudnościach nie wyszedł tu z nich zwycięzko. Na całej masie płatków różanych leżała naga postać dziewczyny. Artysta przerachował się; na takiem tle można było namalować ciało fantazyjne w ruchach i kolorycie, ale niedokładne studyum, z rzeczywistą karnacyą i to z modelu nieszczególnego, Dziewczyna była szarą plamą na wspaniałem tle róż, które wyglądały jakby żywe, woń roznoszące dokoła. „Tak świetnie malowanych kwiatów nigdy nie widziałem“ — mówił mi jeden z dobrych, a niezbyt zapalających się artystów.

K. Bartoszewicz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JERZY BRANDES.

Powieści Björnsona.

Stosunek Björnstjerne-Björnsona do swej ojczyzny jest jedynym w swoim rodzaju w całym świecie literackim Europy. Nie jest on dla niej wcale poetą wyłącznie, lecz owszem uważa się za jej przedstawiciela i nauczyciela.

Najwięksi powieściopisarze Francyi: Zola i Daudet są malarzami — malarzami o przepięknym stylu. Jeden z pierwszorzędnych młodszych pisarzy Francyi gardzi kreśleniem obrazów, oddając się całkowicie zgłębianiu i analizie psychicznej najwyżej pod względem rozwoju umysłowego stojących osobników swego społeczeństwa. Björnson opisuje i zgłębia. Ale przedewszystkiem poucza i wychowuje i tem się różni od Daudeta, którego natura najbardziej pisarzom północnym jest pokrewną.

Björnson oddaje się swemu powołaniu duszą całą. Nie jest zimnym pedagogiem, jest raczej wielkiem czującem sercem, które inne serca wychowuje. Nawet w swych powieściach uważa się więcej za spowiednika, niż za powieściopisarza swego ludu.

By go lepiej zrozumieć, należy pamiętać,

---

szczęścia odrobinę, jak ptaszę trzymam chore, dłoni otworzyć nie śmiąc.

MARYA. Miej litość, dziadku...

STARZEC. My litość nad nimi mamy, dziecię, ale nad nami nie masz litości...

MARYA Powiedzże im to jutro, dziadku, powiedz im to za dnia, przy świetle, nie będą tak zgnębieni.

STARZEC. Masz może słuszność, moje dziecię... Lepiejby może było zaniechać tego wszystkiego po nocy. I światło jest osłodą w boleści... Lecz cóż nam powiedzą jutro? Nieszczęście zazdrosnym czyni i ci, których nawiedziło, chcieliby o niem wcześniej wiedzieć, niż obcy. Nie lubią, by ich w niewiadomości pozostawiano... Wyglądałoby, jakobyśmy kradzież na nich popełnili.

OBCY. Nie ma już zresztą czasu, słyszę głuche szmery modłów...

MARYA. Nadchodzą... są już koło płotów.

(*Marta wchodzi.*)

MARTA. Otom jest. Odprowadziłam ich aż dotąd. Kazałam czekać na drodze (*słychać krzyki dzieci*). Och, dzieci wciąż krzyczą. Zabroniłam im iść z nami.. Lecz napierały się koniecznie widzieć także... a matki mnie słuchać nie chciały... Pójdę do nich... Nie, już się uspokoiły. Czy wszystko gotowe? Przynoszę małą obrączkę, którą u niej znaleziono.-. Mam także trochę owoców dla dziecka... Samam ją ułożyła na noszach. Wągląda, jakby spała... Miałam niemało kłopotu z włosami, nie chciały mię słuchać... Nazbierałam stokrotek... Ach, smutno, że nie było innych kwiatów... Cóż tu robicie? Czemuż nie jesteście u nich? (*Patrzy przez okna.*) Nie płaczą?... oni... wyście im nie powiedzieli?

STARZEC. Marto, Marto, zbyt wiele życia w twej duszy, nie możesz pojąć...

MARTA. Czemużbym nie mogła pojąć? (*Po chwili milczenia, z bardzo silnym odcieniem wyrzutu*). Więceś się nie zdobył na to dziadku?

STARZEC. Marto, ty nie wiesz....

MARTA. Więc ja im powiem.

STARZEC. Zostań tu, moje dziecię, i przypatrz im się przez chwilę.

MARTA. Och, jacy oni biedni! Nie można ich dłużej tak zostawić!

STARZEC. Dla czego?

MARTA. Nie wiem... lecz to niemożliwe.

STARZEC. Chodź-tu, moje dziecię...

MARTA. (*odwracając się*). Gdzieżeś dziadku? Ja cię nie widzę, och, jakżem ja nieszczęśliwa. Sama nie wiem, co począć?

STARZEC. Nie patrz już na nich, dopóki się wszystkiego nie dowiedzą.

MARTA. Pójdę z tobą..,

STARZEC, Nie, Marto, zostań tu... usiądź sobie przy siostrze, tam na tej starej ławie kamiennej pod ścianą i nie patrz już... Tyś za młoda, nie umiałabyś zapomnieć... Ach, ty nie wiesz, co to jest twarz w chwili. gdy śmierć przed oczyma staje... Usłyszysz może krzyki... Nieodwracaj się... Może nic nie usłyszysz... Tembardziej nie odwracaj się gdybyś nic nie słyszała... Nie można pochodu boleści przewidzieć... Ciche, urywane łkanie ze ściśniętej piersi się dobywające i oto wszystko zwykle... Ją sam nie wiem, co pocznę, gdy je usłyszę... Nie z tego to już życia... Uściskaj mię, dziecię, zanim pójdę. (*Szmery modłów zbliżyły się stopniowo. Część tłumu wtargnęła do ogrodu. Słychać, jak biegną cichemi kroki i szepcą*).

OBCY. (*do tłumu*). Zostańcie tu... nie zbliżajcie się do okien... Gdzie ona?...

WIEŚNIAK. Kto?

OBCY. Inni... ci co ją niosą?..,

WIEŚNIAK. Nadchodzą aleją, co do bramy prowadzi.

(*Starzec oddala się. Marta i Marya usiadły na ławie, odwrócone od okien. Głuche gwary wśród tłumu).*

OBCY. C...yt... bądźcie cicho.

(*Większa z dwojga dziewcząt wstaje i idzie założyć wrzeciądze*).

MARTA. Czy otwiera bramę?

OBCY. Przeciwnie, zamyka ją.

MARTA. Czy dziadek wszedł już?

OBCY. Nie... Ona wraca i siada przy matce... inni nie ruszają się, a dziecię śpi ciągle.

(*Milczenie*).

MARTA. Siostrzyczko moja biedna, podaj mi ręce...

co następuje: trzy główne typy dadzą się rozróżnić śród umysłów twórczych nowszej sztuki i literatury. Pierwszym, najrzadszym, może najszlachetniejszym typem jest umysł, którego hasłem najprzedniejszem jest jego własny rozwój. (Leonardo, Michał Anioł, Goethe.) Drugi typ to ci, którzy przedewszystkiem jakiekolwiek, wielkie co do rozmiarów, czy małe, ale pomnikowe dzieło stworzyć i pozostawić pragną („Robinson Kruzoe", Paweł i Wirginia", Piotr Schlemihl", „Miłość bez pończoch"). Trzecim typem, są ci, którzy przedewszystkiem o dobroczynny skutek swego dzieła się troszczą. Wielkim takiego typu przykładem jest Wolter. Sądzę, iż gdyby Björnsona spytano, coby za większe poczytywał szczęście, czy wielkie pomnikowe dzieło po sobie pozostawić, czy też lud swój jako swe dzieło na dwa razy tak wysokim stopniu rozwoju, jak ten, na którym go zastał, potomności oddać — niewątpliwieby to drugie wybrał.

Umysłom do pierwszego typu należącym, którym własny rozwój najprzedniejszym jest celem, sprawia tworzenie dzieł dla potomności przykrość. Jakże długo biedził się Leonardo nad „Jokondą". Jakżeż wiele rzeźb Michał Anioł w pół pracy porzucił? Ileż razy Goethe „Egmonta" i „Ifigenię" przepisywał? Nad „Faustem" 60 lat pracował. Do tego typu należą w naszym czasie niektórzy z Francuzów, jak Bourget.

Jakżeż innym jest Zola. Nie czyni nic dla swego rozwoju. Widzi jeno swe dzieła, nie ma żadnej myśli, jak: dzieło to jak najpotężniejszem uczynić. Ono ma świadczyć o nim, przemawiać za nim, ono, dzieło — l'oeuvre.

Dla umysłów trzeciej kategoryi sztuka jest jeno jednym ze środków wpływania na lud swój. Do nich należy Björnson, nie Daudet. Ten wzruszał początkowo. Żaden z Francuzów nie uderzał w tak delikatne struny, jak on. Nie masz u niego ni śladu tej surowości, która częstokroć wielkim mistrzom jest właściwą. Istotą jego był zawsze wdzięk, który wielu duńskich pisarzy naśladować usiłowało, a kilku tylko osiągnęło. Był mistrzem w sztuce wyciskania łez czytelnikom i równym w sztuce pobudzania ich do śmiechu. Miękki a czuły, nie przedstawia nam rzeczy wstrętnych nigdy inaczej, jak ze strony komicznej. Mimo to zdradza w obrazie swego ludu, jaki nam daje — niemało odwagi. Przypomnijmy sobie jeno „Numę Roumestana", dobosza prowensalskiego, lub humorystyczną, a jednak dla próżności narodowej tak nielitościwie charakterystyczną opowieść o Tartarinie z Taraskonu. Słowo, które go najznakomiciej cechuje, to francuzkie: *werwa*. Oznacza ono wewnętrzne źródło, ogień, polot i płomienną wymowę. On żyje wraz z swemi postaciami, opowiada je ciągle ponownie, nim do pisania siądzie. W tem jego, że tak rzeknę, aktortwie, mieści się jego do Björnsona podobieństwo. Staje się łatwo sentymentalnym i drwiącym, chwali i gani swe postacie i niezawsze umie ukryć się po za swą powieścią. Początkowo mieszał nawet postacie logiczne z rzeczywistemi lub przemawiał do przedmiotów nieżyjących, do roślin i zwierząt. Tem przypomina wielce pisarzy angielskich i północnych.

Zaczął z umysłem dziecinnym. Proszę czytać w „La petite chose" słowa pożegnania: „Rzekłem do platanów: bywajcie mi zdrowi, drodzy moi przyjaciele! A do strumyków: skończyło się, nie będziemy się już widzieli! W ogrodzie było drzewo granatowe, którego czerwone kwiecie w słońcu gorzało. Łkając, rzekłem mu: dajże mi jeden z twych kwiatów, a ono mi go dało. I schowałem go na piersi na pamiątkę po drzewie". Francuzi zwą to pieszczotliwością, świadectwem miękkiego serca i dziecinnej wyobraźni. Lecz nie dosięga ono podobnych rysów na północy.

W „Ragni" („Bożą drogą") czytamy: „Naprzód rzekli wszyscy: Tam w las ją coś ciągnęło, tam do paproci i storczyków leśnych, co się dlatego jeno pewnie tak głęboko schowały. I oto teraz stała tam śród nich, śród bratków, w wielkiem kole rodzinnem. Wszystko czekało na nią, wszystko pragnęło ją widzieć..." W ten sposób jeszcze całe piętnaście wierszy a potem: „— Czekaliśmy ciebie. Tu wszechmożny czar tajnego zacisza wszędy panuje". — „Ach słuchacież mnie!" „Bądź dobrą!" — „To jeszcze może rzecz jedyna, do którejbym się zdała. Ale gdyby inni nie..." — „Niechaj inni czynią, co im się podoba. Ty jeno, ty bądź dobra!" „Teraz poznała dopiero, że się uwieść dała, poznała, kto był silniejszym, ona, czy bratki". Widzimy tu formalny dyalog pomiędzy ludźmi i roślinami. Jest w tem myśl przepiękna: potęga uroku leśnej ciszy i samotności. Wykonanie wprawdzie grzeszy nieco rozwlekłością. Przypomina ono bajki Andersena. Ale na północy nie razi to w powieściach. Ślady dziecinności, które w młodym Daudecie znajdujemy, u naszego autora, aż po za granicą starości się utrzymują.

U Daudeta widzimy często gorące współczucie dla słabych, młodych kobiet, w bardzo sentymentalnych wyrażeniach się przejawiające. („Mała Delobelle"). Ale nigdy nie czyni on wrażenia poety rozentuzyazmowanego dla swej postaci kobiecej, jak Björnson w „Ragni". Björnson każe dorosłym mężczyznom popadać w przesadę i dziecinną afektacyę, gdy o Ragnie mówić im przychodzi: „Rendalen był dnia tego w dobrym humorze i mówił, że w jej grze mało jest siły, za to śpiewność i dziwny jakiś wdzięk a czar niezrównany. Kalen koniecznie chciał wiedzieć, jak wygląda — „Głupio wygląda!" krzyknął, Boże odpuść m głupio. Czoło mogłoby ją ocalić, lecz ona zakrywa je włosami. Powiedziałem jej to; precz z niemi, rzekłem. I oczy ocalićby ją mogły. Ale nigdy nie widziałem nikogo, coby się tak swych oczu wstydził, jak ona. Czyż ma je — istotnie? (Nieco naiwne pytanie). Wielki Boże, i jakie jeszcze! Nie takie, co unisono śpiewają, lub co najwyżej dwoma głosy. Z jej oczu promienne płyną akordy. Gdy je podniesie podczas twej gry, zobaczysz to. Zwykle bowiem wzrok jej nóg stołu się czepia, w kąty się wwierca, lub piec rozpala. Czasem po ścianach wysoko się wspina, jak szczur, co się wydobyć nie może". Rzadko który młody norwegczyk tak się wyraża. Zda się nam, jakobyśmy widzieli poetę dokoła tej młodej postaci kobiecej w zachwycie skaczącego, jakobyśmy słyszeli jego krótkie, liryczne, radosne okrzyki. O tyle więcej sentymentalności znosi dyalog w powieści północnej, aniżeli w francuskiej. Bo miejsce to najzupełniej nikogo nie razi, tak iż przypuszczać należy, że właściwości narodowej i smakowi odpowiada. I to właśnie jest tu znamiennem. Gdy we Francyi młody pisarz zbyt jest słodkim, natychmiast publiczność i krytyka chórem zawołaj[illegible] łagodność ta i słodycz, bardzo dobre to rzec[illegible] ale nabierz sił, stań się mężem, pozbąd[illegible] sentymentalizmu. Jakże inaczej na pó[illegible] Publiczność i krytykę razi nieczuło[illegible] nie umieją pojąć dumy pisarza, co [illegible] w sobie tłumi, chcą widzieć łzy [illegible] lub mokrą przynajmniej chust[illegible] otrząsnąwszy się z sentymentali[illegible] tite chose" dochodzi do męz[illegible] „Królów na wygnaniu" i „S[illegible] szego jego dzieła, wzorowego [illegible]

Björnsona wielkie opowia[illegible] powieściami, ile raczej epopej[illegible] się nieprzejrzystością epopei. [illegible] pozycya zawsze jasna; jest on [illegible] dem prawdziwym latynem. Przyj[illegible] wstęp w „Safonie", gdzie bohater[illegible] młodzieniec wnosi po wschodach. Na [illegible] piętro wbiega za jednym rozmachem, bez [illegible] tchnienia! Nagie ramiona, co mu szyję oplotły, rozkosznym go przejmują dreszczem. Na drugie piętro wspina się powoli, żadnej nie czując przyjemności. Brzemię zaczyna mu ciężyć, czuje ciśnienie bransolety metalowej, w ciało jego się wrzynającej. Wstępując na trzecie piętro, stęka, jak ktoś, co fortepian dźwiga i choć ona rzekła: jakżeż mi błogo! — ostatnie stopnie zdały mu się być straszną, nieskończoną wężownicą. Nie niósł już kobiety, lecz coś

MARYA. Marto!...

(*Obejmują się i całują*).

OBCY. Musiał zapukać... Podnieśli głowy równocześnie... Patrzą na siebie...

MARTA. Och! Och, siostrzyczko moja biedna... Ja także muszę krzyknąć!...

(*Tłumi swe łkanie na ramieniu siostry.*)

OBCY. Musiał jeszcze raz zapukać... Ojciec patrzy na zegar... Wstaje.

MARTA. Siostro, siostro moja. Ja muszę tam wejść także... Nie można ich tak samych zostawiać...

MARYA. Marto! Marto!...

(*Zatrzymuje ją*).

OBCY. Ojciec jest u wejścia... Odsuwa wrzeciądze... Otwiera całkiem spokojnie...

MARTA. Och!... Czy nie widać...

OBCY. Czego?

MARTA. Ludzi z noszami...

OBCY. Odchylił drzwi zaledwie... Widzę tylko kawałek kląbu i wodotrysk... Nie puszcza drzwi z rąk... Cofa się... Wygląda jakoby mówił: „Ach, to wy!..." Wzrusza ramionami... Zamyka drzwi starannie... Wasz dziadek wszedł do komnaty...

(*Tłum zbliżył się do okien. Marta i Marya podnoszą się najprzód na wpół, następnie zbliżają się także w serdecznym splecione uścisku. Widać starca wchodzącego do komnaty. Obie siostry zmarłej podnoszą się, matka wstaje również, ułożywszy wprzód starannie dziecię w krześle, na którem siedziała, tak, że z zewnątrz widzieć można dziecię śpiące z główką pochyloną nieco, na środku pokoju. Matka idzie na spotkanie starca i wyciąga ku niemu rękę, lecz cofa ją, zanim ten miał czas ją ująć. Jedna z dziewcząt chce zdjąć gościowi płaszcz, druga podsuwa mu fotel. Lecz starzec czyni ruch odmowny. Ojciec uśmiecha się z wyrazem zdumienia na twarzy. Starzec spogląda ku oknom*).

OBCY. Nie ma odwagi powiedzieć im... Patrzy się na nas...

(*Gwar wśród tłumu*).

OBCY. C...yt!...

(*Starzec, spostrzegłszy twarze u okien, odwrócił nagle oczy. Gdy mu jedna z dziewcząt ciągle jeszcze fotel podsuwa, siada wreszcie i prawą ręką kilkakrotnie czoło pociera*).

OBCY. Usiadł...

(*Inne osoby w komnacie siadają również, a ojciec mówi żywo. W końcu starzec otwiera usta, a na dźwięk jego głosu, wszyscy zdają się jakby poruszeni. Ale ojciec mu przerywa. Starzec następnie mówi znowu, a w miarę tego inni nieruchomieją. Nagle matka zadrżała i powstała*).

MARTA, Och! Matka zaczyna rozumieć!..

(*Odwraca się i kryje twarz w dłoniach. Ponowny gwar w tłumie. Tłum poczyna się tłoczyć. Dzieci krzyczą, by je podnieść, chcąc także widzieć. Większa część matek czyni to*),

OBCY. C...yt!... Jeszcze im nie powiedział...

(*Widać jak matka z trwogą pyta starca. Ten wypowiada jeszcze słów kilka, następnie nagle wszyscy się zrywają i zdają się go zasypywać pytaniami. Wtedy on głową czyni lekki znak potakiwania*).

OBCY. Powiedział im nagle!...

GŁOS WŚROD TŁUMU. Powiedział!... Powiedział!...

OBCY. Nie słychać nic...

(*Starzec wstaje [illegible] również i, nieodwracając się, [illegible]uje palcem na drzwi po za sobą. Matka, ojciec i obie siostry rzucają się ku tym drzwiom, tak że ojciec nie może ich natychmiast otworzyć. Starzec usiłuje zatrzymać matkę*).

GŁOS WŚROD TŁUMU. Wychodzą! Wychodzą!...

(*Tłum tłoczy się w ogrodzie. Wszyscy biegną ku drugiej stronie i znikają z wyjątkiem obcego, który przy oknach pozostaje. W sali drzwi otwierają się na oścież; wszyscy wychodzą równocześnie. Widać niebo gwiaździste, trawnik i wodotrysk w miesięcznem oświetleniu, podczas gdy na środku opuszczonej komnaty dziecię dalej śpi spokojnie w krześle poręczowem. Milczenie*).

OBCY. Dziecię nie zbudziło się!...

(*Wychodzi również*).

KONIEC.

okropnego, co go dławiło, coby najchętniej z odrazą zrzucił z siebie. Ustęp ten kończy Daudet słowami: „W wnoszeniu tem na wschody o wczesnym ranku, mieściła się i zawierała cała ich historya". Co za iście latyńska prostota, co za surowa, szematyczna nagość! W porównaniu z dziełem podobnem, zda się powieść Björnsona nieprzebytą gęstwiną leśną. Björnsona utwory rozrastają się szeroko, a bujnie, nietylko dlatego, iż lira jego dziewięciostrunna, lecz i dzięki jego olbrzymiej pamięci. Pamięć jego przechowuje wiernie wszystkie owe drobne szczegóły, które życiem utwór obdarzają.

Daudeta „Safo" — to dzieło sztuki samoistne, a razem jednak i utwór pedagogiczny. Björnsona powieści mają charakter czysto pedagogiczny. Pierwsza zajmuje się prawie wyłącznie wychowaniem, a drugie są wprost poematem dydaktycznym. Jest to protest przeciw moralnemu i teologicznemu fanatyzmowi.

Dwa poglądy życiowe są tu sobie przeciwstawione: czysto ludzki, który w pracy dla drugich cel swój upatruje i religijnie ograniczony, który inaczej myślących ustawicznie potępiać musi, swych własnych zwolenników tem unieszczęśliwiając. Jest to książka dla ludu, nie dla tak zwanych wykształconych. Na nich [illegible]pływu nie wywiera.

Jako utwór polemiczny, przeciw wierze [illegible]ogmaty wymierzony, przyznaje, rozumie się, [illegible] tylko jej przeciwnikom słuszność. Pół[illegible]kultura nie stoi jeszcze na tej wyżynie, [illegible] się odważyć na wprowadzenie na [illegible] ateistycznej tak komicznej, jak [illegible]adame Bovary". W społeczeń[illegible]ętem, jak Francya, można swo[illegible] bez obawy zaszkodzenia tem [illegible] Mimo to i walka przeciw do[illegible] się wyzyskać artystycznie; [illegible] jednak tego nie widzimy. [illegible] tu o poznajomienie czytel[illegible] nowszych badań teologicznych. [illegible] zajmuje, gdyż jest już nawet [illegible] to taranem w obronny mur [illegible] zajęciem, lecz gdy kto z nim [illegible]ynie bieży — przestaje nas to na[illegible]ajmować.

[illegible]ozą drogą" jest to powieść zwana u [illegible]cuzów powieścią à thèse. Chodzi tu o wpojenie czytelnikowi pewnych zdań. Lecz prawdy te, niestety, nie są nowe. Nadto, wszystko tu ab ovo się poczyna. Ma być przeprowadzony dowód, że można zerwać małżeństwo, a jednak porządnym być człowiekiem. Małżeństwo tedy wprowadzone na scenę musi być wszelkiej pozbawione wartości. Widzimy męża, trupa raczej aniżeli żyjącego człowieka, do tego przez chorobę płciową mocno zniszczonego. W przeciwieństwie do niego jest nieszczęśliwa jego żona dziecięciem siedemnastoletniem, niewinnem i t. d. i t. d. Kochają się tedy z Rendalem. By w niczem czytelnika nie urazić, stara się poeta, by kochankowie, przed zawarciem nowego małżeństwa, nadto do siebie zbliżyć się nie mogli. Morze musi tedy stanąć pomiędzy nimi. A mimo to musi ich ciasne otoczenie potępić. Prześladowana nielitościwie przez wszystkich, młoda kobieta ginie w walce nierównej. Gdyby jakikolwiek, acz mały błąd popełniła, a poeta jej mimo to bronił, nie mielibyśmy obrazu z taranem przeciw pajęczynie idącego; lecz nie! Oszczercy tem brutalniejszemi wydać się mają, im czystszą jest niewinność pary bohaterów. Równocześnie atoli muszą i oszczercy być z natury swej i dobrzy i czyści i szlachetni. By potworność fanatyzmu w całej jego grozie nam się przedstawiła, widzimy ludzi uczciwych przezeń opętanych. Równocześnie musi być wykazaną wyższość nowych prądów. Dlatego naukowe poglądy na życie, w Kallenie uosobione, zawsze muszą zwyciężyć. Wszystko mu się więc udaje. Takiego szczęścia najgenialniejszy nawet nie zna operator. Do tej pedagogii przyłącza się uczoność na wszystkich polach, nieznośna prawie. Ile imion botanicznych, jaka dokładność wszędzie!

A jakiż skutek tego wszystkiego? Poprostu ten, iż czytelnik nie otrzymuje wrażenia prawdy życiowej. Autor czerpie wprawdzie z życia, ale w wykonaniu zawsze ma na oku pouczenie swego ludu. A jednak życie większe ma znaczenie niż nauka. Dlatego najpiękniejsze są owe ustępy, które z nauką nic wspólnego nie mają.

Tutaj, równie, jak w „Leonardzie", lub „Królu" fanatyzm zabija dobrą sławę kobiety, która nic nie zawiniła. Do pięknej tej myśli wraca Björnson ciągle.

I „Król" jest utworem czysto pedagogicznym. I w nim mało prawdy życiowej. Proszę porównać z nim delikatny, dowcipem tryskający list Milli Engelsa do Nory w „Det flager". I w nim widać tendencyę, ale ile przytem prawdy? Podobnej doskonałości w „Bożej drodze" nigdzie nie znajdujemy.

Jako przeciwieństwo do „Króla" Björnsona, proszę przypomnieć sobie Daudeta „Les rois en exil". Tu wierzymy w to, co czytamy, gdyż czujemy, że sami byśmy w tych warunkach to samo uczynili. Bo innej miary nie mamy. Utwór wtedy czyni wrażenie rzeczywistości. A tego nigdy nie otrzymujemy, gdy poeta moralizować pragnie.

Powieściom Björnsona szkodzi jego pedagogiczna działalność. A jednak dlatego samego już warto przypatrzyć mu się, jako powieściopisarzowi. Że z powieściopisarza stał się pedagogiem, to sprawiły jego usposobienie i klimat ojczysty. Przejawia się ta sama natura, która w jego licznych artykułach gazeciarskich się przebija, która go prze do zabierania wszędzie głosu.

Björnson dopiero późno i jak mi się zdaje, niechętnie powieści pisać począł. Przypominam sobie, że gdym go przed dziesięciu laty do tego namawiał, wyraził się bardzo źle o tej formie twórczości; nienawidzę jej — powiedział — nigdy jej nie użyję. Później zmienił swe zdanie.

Ale aczkolwiek się z tego okazuje, iż zbyt wiele w nim jest wychowawcy jak na dobrego powieściopisarza, nie uwłacza to atoli w niczem jego sławie poetyckiej. Że jako piewca, odnowiciel języka, malarz jest poetą pierwszorzędnym — nie ma potrzeby wspominać dopiero; że jako przedstawiciel nowych prądów, jako umysł do prawdy się rwący i sprawiedliwości swego rodzaju — wiele zdziałał, nie uznają wprawdzie wszyscy, lecz jest to niemniej niewątpliwem. Właśnie ten zapał i poświęcenie się dla dobrej sprawy szkodzi jego powieściom.

Okazał się on od pierwszego swego występu na polu literackiem najbujniejszą siłą twórczą pomiędzy północnymi poetami tak jak Ibsen najoryginalniejszą, Jakobsen najbarwniejszą i najwdzięczniejszą, Strindberg najcięższą, tak ostrą, iż się szczerbi. Björnson zajmuje miejsce pierwsze przez bogactwo i pełnią swej twórczości. Wielkie te zalety czerpie on w swej naturze. Błędy zawdzięcza swemu otoczeniu. Sztuką swą wszystkich zarówno chce ująć. Jest zarówno demokratą jak artystą. Chce przez wszystkich być zrozumianym, wszystkich wychować. Ale by tego dokonać, trzeba się koniecznie do swego otoczenia dopasować. Gdy ono stoi nisko, nie może się dzieło sztuki wznosić zbyt wysoko; bo lot jego obniża cel, do którego dąży.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków 20 lutego.

(*Nowy biskup. — „Bene nati" Orzeszkowej na scenie. — Pomnik Mickiewicza*).

Ubiegłe dwa tygodnie były tygodniami ks. biskupa Puzyny. Następca ks. kardynała Dunajewskiego na tronie biskupim krakowskim przybył do nas 7go lutego o godzinie 2 i pół po południu. Na peronie kolejowym oraz w sali pierwszej klasy oczekiwało swego pasterza przedewszystkiem całe prawie duchowieństwo, tak świeckie jak i zakonne, dyecezyi krakowskiej. Prócz duchowieństwa witali księcia biskupa reprezentanci władz autonomicznych i rządowych oraz instytucyi naukowych i filantropijnych. Rada miejska stawiła się prawie w komplecie. Naturalnie brały udział w przyjęciu i tłumy publiczności. Kiedy ks. Puzyna wysiadł z wagonu przeprowadził go do sali p. delegat namiestnictwa, a prezydent m. Krakowa powitał krótką mową dostojnika Kościoła. Zwrócił w niej naprzód uwagę na wspaniałą przeszłość krakowskiej stolicy biskupiej, i tej katedry w której koronowano monarchów, błogosławiono hetmanów i składano zdobyte sztandary. Nowy pasterz nie zastanie stolicy swej ani pogodną ani gwarną, bo koleje losu wycisnęły na niej znamię milczenia i przygnębienia, ale natomiast znajdzie dochowane z przeszłości w sercach mieszkańców: głęboką wiarę, niezachwiane przywiązanie do Kościoła i niewygasłą cześć pamięci tych biskupów, władzców serc i sumienia, którzy dzielili z miastem jego dolę i niedolę.

Przychylne umysły i serca staną się osłodą trudów, jakie czekają pasterza na jego stanowisku. Na przemówienie prezydenta miasta odpowiedział ks. Puzyna podziękowaniem za serdeczne powitanie. Słowa prezydenta zapewniły go, że nie wygasły prastare tradycye, że żywem i gorącem jest przywiązanie mieszkańców miasta do Kościoła i do jego dostojników. Z radością przybywa w te mury, licząc na to, że go społeczeństwo otoczy miłością, o którą też prosi. Przybywając na ziemię krakowską czuje się nietylko jej biskupem, ale i obywatelem prastarej stolicy, z którą pragnie dzielić radości i smutki, pragnie pracować nad podniesieniem miasta, którego każdy kamień jest drogiem historycznem wspomnieniem, pamiątką świetnej przeszłości. Po przemówieniu ks. Puzyny, przyjętem okrzykiem „Niech żyje!" udał się książe biskup do kościoła marjackiego rzęsiście oświetlonego i napełnionego tłumem publiczności, gdzie go powitał archiprezbiter ks. infułat Krzemiński, wraz z duchowieństwem miejscowem.

Na uroczystą intronizacyą ks. Puzyny, która się odbyła onegdaj (w niedzielę) przybyli do Krakowa arcybiskup Morawski, biskup Glaser, namiestnik hr. Badeni, minister oświaty dr. Madejski, wiceprezydent Rady szkolnej dr. Bobrzyński, posłowie hr. Stanisław Badeni, hr. Szeptycki, Puzyna i t. d. Uroczystość rozpoczęła się o godzinie 9tej rano w katedrze na Wawelu, w której zajęli miejsca reprezentanci władz wojskowych, rządowych i autonomicznych oraz licznych instytucyi. Po ceremonjach kościelnych odczytano *breve* papieskie. Po przemówieniu ks. infułata Gawrońskiego i odpowiedzi ks. biskupa nastąpiło składanie homagium. Po mszy uroczystej odczytano list pasterski, po którym ks. Puzyna przemówił od tronu biskupiego, dziękując za życzliwe przyjęcie ze strony obywateli miasta. Z przemówienia tego na uwagę szczególną zasługuje ustęp tyczący się restauracyi katedry Wawelskiej.

Po południu przyjmował ks. biskup liczne grono dygnitarzy i obywateli obiadem zastawionym w apartamentach pałacu biskupiego. Wieczorem miasto było iluminowane, a w teatrze dawano... Lysistratę.

Wspomniawszy o teatrze, zanotować muszę wielkie powodzenie tak wśród krytyki jak i publiczności „Hardych dusz" ułożonych przez Zygmunta Sarneckiego z powieści Orzeszkowej *„Bene nati.* Po pornograficznej „Lysistracie" odetchnęliśmy na „Hardych duszach" prawdziwie świeżem powietrzem. Są w nich sceny i rzewne i poetyczne i prawdziwie dramatyczne i nawet wesołe; są charaktery silne, mające wolę i energią, są typy szlachetne i sympatyczne. Zdaje się, że pierwszy raz widzieliśmy na scenie szlachtę zagrodową litewską ze wszystkiemi jej zaletami, wadami i przesądami; te przesądy są właściwym bohaterem dramatu, stwarzają akcją, wpływają na losy głównych figur. W sztuce nie ma ujemnych charakterów, pomimo, że ludzie w niej występujący stają się winnymi moralnej zbrodni; są oni przekonani, że działają mądrze, szlachetnie, uczciwie. Je-

dyną wadą utworu jest zbytnia jego rozwlekłość, która jednak łatwo da się usunąć przez skreślenie kilku scen w dwóch ostatnich odsłonach.

Pomnik Mickiewicza stoi już całkiem odsłonięty, dopóki go nie zasłonią na nowo. Dnia 14 bm. odbyło się posiedzenie komitetu pomnikowego, którego przebieg był bardzo nieprzyjaznym dla autora pomnika. Donosiłem wam w swoim czasie jak wstrętne wrażenie czyni figura Mickiewicza; ona też podległa najsurowszej krytyce członków komitetu. Właściwie cały pomnik uznano za nieodpowiadający temu, czego ogół ma prawo od niego wymagać, ale ponieważ o postawieniu całkiem nowego pomnika nie może być mowy, zresztą część architektoniczna ma wady bardzo drobne, a figury boczne, oprócz wad rażących, mają wiele pierwszorzędnych zalet, przeto komitet postanowił jedynie dążyć do wykonania na nowo samej figury Mickiewicza. Postanowienia tego nie zamieniono w uchwałę jedynie z tego względu, że szło komitetowi o zasłonięcie się motywami czysto artystycznej natury. W tym celu powołanych będzie kilkunastu znawców do wyrażenia swej umotywowanej opinji. Komitet posiada jeszcze w rękach swoich 19,500 złr.. która to suma wystarczy najzupełniej do wykonania nowej figury. Odlanie kosztuje zaledwie 6 do 8 tysięcy franków, — materyał niby nie kosztował, bo dla dostarczenia go byłaby użyta dzisiejsza figura. Ujemną stroną tej zamiany figury byłaby tylko znów paroletnia zwłoka. Ale przyzwyczailiśmy się już tak do odwlekania całej tej sprawy, że nie zrobi to już nam najmniejszej różnicy i będziemy szczęśliwi, jeżeli w tem jeszcze stuleciu pomnik zostanie odsłonięty. Miejmy nadzieje, że przynajmniej w stuletnią rocznicę urodzin Mickiewicza będzie Kraków posiadał widomy znak czci narodu dla wieszcza.

K. Bartoszewicz

KRONIKA WIEDENSKA

Wiedeń, 20 lutego.

(Jeszcze śniegi. — Kradzieże i morderstwa. — Jeszcze jeden „Mazur-Abend“. — Artystyczna wyprawa do bieguna północnego i zdania artystów o niej. — Echa o Hubermanie cudownym i Hoffmanie artyście. — Poseł sejmowy Gregorig a radzca Wydziału Dr. Weitlof. — Reichsrath rozpoczyna sesye.)

Od kilku lat nie pamiętamy tutaj takich śniegów, jakie spadają na nas od dwuch tygodni bez przestanku. W razie odwilży będziemy pływać i brodzić w błocie nawet po chodnikach, których nasi „hausmeistrzy“ stanowczo nie chcą utrzymywać w czystości, twierdząc, że te należą do magistratu, jako własność gminy.

Wśród śniegów i zawiei rozbijają też i kradną na wszystkie strony. W przeciągu dwuch tygodni naśrubowano i okradziono siedm kas ogniotrwałych w różnych bogatszych sklepach i kantorach pieniężnych. W końcu też wyłowiono z owej dowcipnej bandy opryszków trzech Greków, — ale w Budapeszcie i Nizzy. Policya bowiem wiedeńska zajęta morderstwem, spełnionem na adwokacie Rothziegel, nie miała czasu i mózgu na szukanie złodziei. Nareszcie morderca sam się znalazł w osobie niejakiego Eichingera, którego uwięziono na razie jako podejrzanego i miano go lada dzień z braku poszlaków uwolnić, lecz się sam do zbrodni przyznał. Ów Eichinger, oberlietenant piechoty stał załogą w Przemyślu i tam zakochał się w pięknej żydówce, córce kupca Rabinowicza. Ponieważ ojciec nie chciał na ten związek zezwolić, Eichinger przeszedł na mozaizm, zezwoliwszy na spełnienie rytualnego przepisu na sobie, przeniósł się do artyleryi i nadal pozostał w służbie czynnej, bez kaucyi małżeńskiej. Rząd bowiem takiego małżeństwa nie uznaje za ważne, więc Eichinger uchodził w armii za kawalera. W końcu za wykroczenie jakieś musiał kwitować i wystąpić z wojska, znalazłszy zatrudnienie w kancelaryi adwokackiej. Dopuścił się morderstwą dla rabunku. Aresztowana z nim żona w tych dniach została ze śledztwa jako niewinna wypuszczona. Charakterystycznem w całej tej sprawie jest stanowisko wiedeńskiej prasy, zostającej jak wiemy li tylko w rękach żydowskich. Mordercę dzienniki prawie biorą w obronę, ponieważ jest żydem i to neofitą, a dzisiaj obrońca jego Dr. Ellogen stawia wniosek o skonstatowanie jego niepoczytalności, popierając to faktami z życia Eichingera, licząc w takowe i przejście jego na mozaizm. Czasem dobrze być i żydem.... w Austryi.

Jeszcze jeden „Mazur-Abend“ polskiego Towarzystwa odbył się dnia 15 w sobotę. Do jakiego stopnia lojalności dochodzą Polacy w Austryi, dowodem tego są zaproszenia i karty wstępu na polskie wieczorki pisane, t y l k o w j ę z y k u n i e m i e c k i m! W Warszawie, w owej oknuconej Warszawie, gdzie zmuszają urzędownie do pisania po rosyjsku, przecież znajdują się sposoby na dopisywanie tekstu i po polsku, a nawet, kto chce opuścić tekst rosyjski, może to uczynić pisząc po francuzku. Polacy we Wiedniu, zapraszajac na swoje bale siebie — piszą po niemiecku. Podaję tę wiadomość bez komentarzy, ponieważ każdy z czytelników nazwie to po imieniu.

Sztuka plastyczna, traktowaną jest w Wiedniu bardzo po macoszemu. Jeżeli mecenas jaki kupuje obrazy lub rzeźby, to z pewnością roboty artystów berlińskich lub paryzkich, albo monachijskich. Dowodem tego zakupy na wystawie secesyonistów z Monachium, urządzonej tu przed miesiącem. Jeżeli jednak idzie o urządzenie blagi na wielką skalę, o której by trąbiły wszystkie dzienniki, natenczas mecenasowie znajdą się niezawodnie i sypną nawet grubemi pieniędzmi. Malarz Payer, znany z wyprawy podbiegunowej, jaką odbył przed kilkunastu laty z Weyprechtem, nie mogąc obecnie z obrazami swemi zrobić interesu, zaproponował ponowną wyjażdżkę „artystyczną“ w celach „sztuki“ pod biegun*). Arystokracya z hrabią Wilczkiem na czele utworzyła komitet, Payer miewa dla zachęty odczyty, pieniądze zbierają do półmiliona guldenów — a artyści się śmieją i drwią. Bo trzeba rzeczywiście grubo naiwnego, aby pozwolić sobie wmawiać sztukę i jej cele pod biegunem! Morze zamarznięte — stepy białego śniegu na około i zimno dochodzące 50° niżej zera! Ponieważ sam Payer wie o tem, że przy pięciu stopniach farby marzną, a palce sztywnieją, wymyśla ogrzewaną s z k l a n n ą b u d k ę, w której siedząc chce malować, — zapominając niestety i o tem, że szkło, pokryte mrozem, będzie nieprzezroczystem! Ale panowie chcą się bawić, a kilku żydowskich milionerów pragnie reklamy, więc i prasa codziennemi artykułami zaznajamia publiczność z genialnemi pomysłami rzeczywiście genialnego pod tym względem malarza! Tymczasem artyści wiedeńscy i cała sztuka może spać w spokoju. Ankieta artystów urządzona celem wydania opinii o tej sprawie — wprost wyśmiała się z blagi „wyprawy pod biegun w celach sztuki“!

Broniś Huberman jest obecnie także w pierwszej linii „ein Stöckenpferd“ dla prasy wiedeńskiej. Gra na koncertach, grywa prywatnie po domach wielkich ludzi, a wszędzie wywołuje entuzyazm i podziwienie. Przyznam się, że nie podzielam zdania o jego „boskości“ pomimo jego polskości (jest warszawskim żydkiem). Wywiera on na mnie wrażenie doskonale wyuczonego, a może nawet i genialnego malca, który umie wprawiać w podziw, ale nie porywa tak, jakby porwał artysta-człowiek, w starszym wieku. Przed sześciu laty słyszałem w Warszawie i tutaj w Wiedniu także, jako dziecko, cudownego Józia Hoffmana. Słyszałem go po tylu latach znowu w tym miesiącu na koncercie tutejszych Filharmoników. Józio uczył się przez ten czas pilnie i wytrwale, wyrósł na Józefa i dopiero teraz zaimponował jako prawdziwy artysta! Spodziewamy go się tutaj z koncertami w połowie marca, i wierzymy w jego powodzenie. Hubermanem ogromnie się interesuje hrabia Zamojski, kupił mu bowiem skrzypce za dziesięć tysięcy marek, jak zapewniają tutejsze Tageblatty, i obcałowuje go przed i po wyjściu na estradę w najczulszy sposób, — jak to sam widziałem. Pytanie, czy pan hrabia i za lat dwadzieścia będzie dla niego tak samo czułym, kiedy Broniś „przecudowni“ najpiękniejsze lata do nauki i będąc tylko mniej lub więcej dobrze grającym skrzypkiem, zwróci się do hrabiego o protekcyę? To pojawienie się cudownego skrzypka przypomina mi również cudownego przed piętnastu laty małego d'Agremont. Panie go całowały, panowie pieścili na kolanach. Doszedłszy lat dwudziestu, grał w „Cafè chantants“ na Bulwarach Paryzkich podczas ostatniej wystawie światowej, a przed dwoma laty umarł w nędzy w Sydney, w Australii. Dorosłemu artyście nikt nie pomoże, bo to nie robi reklamy!

W sejmie austryackim, ciągła heca i teatr. Poseł Gregorig miał znowu sposobność do zaczepienia wydziału krajowego, naturalnie chodziło tu o żyda czy z żydów pochodzącego urzędnika, któremu wydział krajowy dał 500 guldenów renumeracyi za oszczędności porobione w zakładach dobroczynności. Poseł Gregorig uważa to za niedozwoloną protekcyę i zapytuje radcę wydziału dra Weitlofa, podejrzywając owego urzędnika i o obcokrajowość: „Szanowny panie Radco Doktorze Weitlof! Czy pan niemasz tutejszych urzędników, że obcym dajesz posady? Czy musisz po nich chodzić aż do Węgier, albo wybierać węgierskie nazwiska? Zresztą słyszałem, że ten urzędnik nie jest nawet wcale Węgrem, a nazywał się dawniej Geiringer. Czy wiesz Pan, jakiej on jest narodowości? Ani Niemcem, ani Węgrem, ale żydowskiem dzieckiem protekcyjnem, i dlatego zmuszony jestem przeciwko takiemu postępowaniu stanowczo zaprotestować, bo to jest oszustwo i wprowadzanie w błąd!“

Dr. Weitlof: „Wydział krajowy nie rozdziela posad według nazwisk, ale podług kwalifikacyi. Nie wiem do jakiej narodowości zalicza się ten urzędnik (Feodor Gerenyi), ale wiem, że kończył szkoły w Wiedniu i jest austryackim poddanym. Gdyby ktoś inny z posłów powiedział mi, że Wydział oszukuję, to bym go wezwał do dania mi satysfakcyi — *w obec takiej jednak osobistości jaką jest poseł Gregorig*, przechodzę do porządku dziennego“ (tu machnął pogardliwie ręką).

Gregorig: To jest wielka *bezczelność*! jak może do mnie *ten* człowiek w taki sposób przemawiać!“... I tak dalej bez końca dzień w dzień jedno i to samo! Nie mówi się o sprawach publicznych, mających na celu dobro ludu, ale obraża się wzajemnie podejrzeniami i zarzutami. A poczciwy ludek płaci podatki i płaci dyety posłom, aby się wymyślali kwoli śmieszenia galeryi!...

Xi.

Z prowincyi.

Przyczynek do „naszej solidarności narodowej“.

W jednym z ostatnich numerów „Gońca Wgo“ czytamy, że na walnem zebraniu okręgowem północno-niemieckiego Towarzystwa zabezpieczeń od gradu, p. dr. Kusztelan zerwał solidarność, głosując na kandydata niemieckiego. Sądząc, że ta wiadomość potrzebuje sprostowania, udaliśmy się po informacye do jednego z uczestników pomienionego zebrania. Na podstawie tych informacyi podajemy zajście to do publicznej wiadomości.

Na początku grudnia odbyło się walne zebranie znanego tuw Księstwie Północno-niemieckiego Towarzystwa zabezpieczenia od gradobicia, na którem obierano dyrektora okręgowego i delegata na walne zebranie do Berlina. Z inicyatywy posła pana Józefa Głębockiego zaproszeni zostali poprzednio wszyscy polscy członkowie Towarzystwa z okręgu poznańskiego, do którego należy kilka jeszcze innych powiatów, na naradę prywatną. Ta odbyła się w Poznaniu w hotelu „Victoria“.

Stanęło na nią ośmiu tylko Polaków, pomiędzy innymi p. dr. Kusztelan w charakterze reprezentanta Banku Spółek Zarobkowych, jako właściciela Czarnotek. Zgodzono się bez protestu, że Polacy *solidarnie* oddadzą swe głosy na

---

*) Patrz. nr. 6 „Przegl. pozn.“

p. Głębockiego tak przy wyborze dyrektora, jak i przy wyborze na delegata.

Gdy na walnem zebraniu policzono członków, wykazało się, że przybyło 8 Polaków i tyluż Niemców. Przybyło wprawdzie dwóch jeszcze Niemców, ale ci nie posiadali prawa głosowania. Los miał rozstrzygać. Tymczasem, co się dzieje? Jeden z Polaków N. K. (nie wymieniamy jego nazwiska, bo to osoba szerszej publiczności mało znana), zapytał się przewodniczącego, kto był dotychczasowym dyrektorem. Po odpowiedzi z strony przewodniczącego, Niemca, że on nim był sam, oświadczył p. K. że może nim zostać i nadal. Pan dr. Kusztelan przyłączył się do tego votum. Oczywiście po zerwaniu solidarności przez tych dwóch panów, Niemiec pozyskał większość.

Gdy p. Głębocki to spostrzegł, zaproponował w mniemaniu, że może jego osoba nie podobała się tym panom, na delegata p. Niegolewskiego z Niegolewa. I to jednak nie poskutkowało. Przy wyborze delegata akurat ta sama powtórzyła się scena i ten sam wynik wyborów.

Dla czego p. dr. Kusztelan zerwał solidarność, nie wiemy; a stwierdzamy tylko, *że on jest przewodniczącym w miejskim komitocie wyborczym*, który w interesie zachowania solidarności narodowej został przez komitet prowincyonalny uznany za legalny. Może p. dr. Kusztelan, wyjaśni nam tę zagadkę?

Dodajemy i to, że na walne zebranie przybyło także dwóch gospodarzy polskich. Jakie ci o „solidorności naszej“ wynieśli wyobrażenie, można sobie łatwo wyobrazić!

S. S.

Przyp. Red. O charakterystycznej tej sprawie milczą nasze wielkie dzienniki zupełnie. Sądzimy, że po ogłoszeniu korespondencyi powyższej zapomną o względach osobistych i przemówią nareszcie.

WOLNE GŁOSY.

Z powodu rozlicznych krytyk, które wywołała najświeższa premiera w teatrze poznańskim, odbieramy list następujący:

W sprawie „Zwyciężonego“.

Ponieważ dziś całe Księstwo rozprawia o „Zwyciężonym“ pozwólcie i mnie kilka słów tej sprawie poświęcić.

Wszystkie wielkie talenty mają to do siebie, że wszczyna się koło nich walka namiętna, że wywołują tysiące komentarzy za i przeciw, i są przedmiotem urągań z jednej, uwielbienia z drugiej strony. Tylko mierność nie budzi niechęci. Z tego względu dumnym może być Władysław Rabski, autor „Zwyciężonego“ z tego wręcz niezwykłego zacietrzewienia, jakiem niegdyś powitano „Ascetę“, jakiem dziś witają „Zwyciężonego“. Po owacyach zgotowanych autorowi w teatrze i wzruszeniu, w jakie dramat najświeższy wprawił słuchaczy wszystkich obozów bez wyjątku, zaczyna się wojna w dziennikach. Wszystkie pisma oddają autorowi wielkie pochwały, ale u wszystkich krytyków poczucie artyzmu staje na trzeciem miejscu, namiętności polityczne na pierwszem. Nawet pan P., krytyk „Dziennika Poznańskiego“, nie jest w recenzyi swojej artystą — lecz politykiem, chociaż zastrzega się wyraźnie przeciw takiemu zarzutowi. Przyznając bowiem, że *„Zwyciężony jest utworem, napisanym z talentem, wynoszącym się ponad zwykły poziom sztuk, które w ostatnich czasach pojawiły się na polu naszej literatury dramatycznej“*, — poświęca lwią część recenzyi ujemnym stronom sztuki, a zaledwie kilkanaście wierszy dodatnim. Tak sprawiedliwy recenzent nie pisze o sztuce, którą sam stawia w rzędzie najlepszych utworów nowoczesnych. Nie przeczę, że nadmiar tendencyi może osłabić wrażenie dramatu, ale nacisk, który krytyk tej stronie poświęca, razi stronniczą przesadą. Zarzucać autorowi, że pragnie zohydzić tendencyjnie jedno, a wywyższyć drugie stronnictwo, że wszystkie światła zgromadził na przedstawicielach demokratyzmu, a wszystkie cienie na arystokracyi jest przekręceniem istotnego stanu rzeczy.

W „Zwyciężonym“ widzę dwa ujemne typy w świecie arystokratycznym (hr. Wareccy), a cztery dodatnie (Modliński, Ruszczewski, Marta i Melanja), wśród reprezentantów zaś postępowego kierunku jeden tylko Wolski jest postacią szlachetną, nie pozbawioną jednak świetnie podchwyconych znamion ujemnych, — natomiast dwaj inni przedstawiciele kierunku tego (Wisłowski i Kostecki) są scharakteryzowani z widoczną niechęcią ze strony autora. Jeżeli Wolski przemawia z bezwzględnym pesymizmem o arystokracyi, to o ile mi się zdaje nie tendencya kierowała autorem, lecz względy psychologiczne. Fanatyk polityczny — a takim jest Wolski — przemawiać musi w ten sposób. Gdyby autor był wprowadził samych aniołów arystokratycznych, a samych potworów demokracyi, to przekonany jestem, że ogłoszonoby to w pewnych sferach, za „prawdziwie artystyczny objektywizm“.

O świetnej budowie sztuki i wręcz niezwykłym nerwie dramatycznym, mówi pan P. z „Dziennika Poznańskiego“ zaledwie półgębkiem, a nie przypuszczałem stronniczości właśnie u tego recenzenta, który w Warszawie nauczył się cenić sztukę z wyższego stanowiska.

A w końcu jedną nauczkę autorowi: Sztuk osnutych na tle takiem jak „Zwyciężony“, i napisanych przez reprezentanta postępowego obozu, nie puszcza się na pierwszy ogień w Poznaniu, gdzie pod względem artyzmu mało jest wyrobienia. Trzeba było przylepić wprzódy markę warszawską, lwowską lub krakowską, bo chociaż utwór wywarł tak wyjątkowo silne wrażenie na całej publiczności, to stronniczość polityczna krytyków, lub niechęć osobista, gotowe osłabić uznanie. Tego nie chciałbym pod żadnym warunkiem. Chociaż bowiem nie godzę się na kierunek polityczny Władysława Rabskiego i do stronnictwa „Wolskich“ nie zaliczam się bynajmniej, to cieszę się z tego dziecka poznańskiej ziemi i cieszę się z poety, któremu nawet przeciwnicy przyznają, że „wyniósł się ponad poziom współczesnych pisarzy dramatycznych.“ Obawiam się tylko, że się zniechęci w tej atmosfdrze poznańskiej, gdzie berło krytyki piastują jednostronni politycy, lub zgorzkniali autorzy poronionych i wzdrygnięciem ramion przyjętych fars teatralnych.

Niechaj te słów kilka posłużą ku sprostowaniu opinii, którą jednostki starają się gwałtem usposobić nieprzychylnie dla autora „Zwyciężonego“.

Dr. S.

NA WYŁOMIE.

(Apokaliptyczna polemika. Dziwne sofizmaty. Zróbmy zakład. Ojczyzna-Kopciuszek. Nowa argumentacya lojalizmu naszego. Jeszcze słówko o paszkwilach.)

Tak apokaliptycznie zabrał się do nas „Kuryer Poznański“, że z uczuciem wstydu i mistycznego strachu opuściłem głowę, jak w owej chwili pamiętnej, gdy pewien poznański wieszcz i prorok deklamował w gronie mężów uczonych wierszowane przekłady Apokalipsy. O! przyjaciele moi! radzę wam przeczytać sobie uważnie sobotni numer „Kuryera“, a trwoga i potęga grozy chwyci was w szpony jastrzebie i przeklinać będziecie chwilę, w której na poznańskim bruku stanął „P r z e g l ą d P o z n a ń s k i“ i Sulla na Wyłomie. Rany boskie! co to za straszne potwory pełzają w tym młodopolskim obozie, — zdawać się może, że spełniło się już objawienie św. Jana apostoła, bo oto wstępuje na trójnog „Kuryer Poznański“ i śpiewa taką melodyę: „I widziałem bestyę wychodzącą z morza, mającą siedm głów i rogów dziesięć a na rogach jej dziesięć koron, a na głowach jej imiona bluźnierstwa... I widziałem drugą bestyę występującą z ziemi, a miała dwa rogi podobne barankowym i mówiła jako smok... Tu jest mądrość. Kto ma rozum niech zrachuje liczbę bestyi. Albowiem liczba jest człowieka, a liczba jego sześćset sześćdziesiąt i sześć.“ — I dalej śpiewa na nutę Ezechielowego proroctwa „Kuryer Poznański“: „A oto sześć mężów przyszli z drogi bramy wyższej, która patrzy ku północy, a każdego naczynie zginienia w ręce swej; jeden też mąż pośrodku ich obleczon był w płócienne szaty, a k a ł a m a r z p i s a r s k i n a b i o d r a c h j e g o. I weszli i stanęli podle ołtarza miedziannego“.

Proszę najpokorniej przebaczyć feljetoniście, że ośmielił się zuchwałą dłonią sięgnąć do apokaliptycznych tajników, aby w kilku słowach scharakteryzować Kuryerowe dzwony na alarm. Być może, że w pewnych sferach poczytają mi to za herezyę i świecę złamią nad głową skołataną, ale zarzucano mi tylokrotnie w „Kuryerze“, że nie znam katechizmu, że obcym mi jest duch religii, że „Wierzę w Boga“ z ust moich nie płynie i tysiące innych babskich powiastek, że nie mogłem oprzeć się pokusie popisania się publicznie biblijną erudycyą. Nie wystarczy to wprawdzie autorowi artykułów p. t. „W obronie zasad i prawdy“, ale jest pewna kategorya ludzi, w obec których poważniejszych argumentów wytaczać nie warto. Czyż bowiem polemika w złośliwy grymas zmienić się nie musi, jeżeli przeciwnik, stając w obronie osławionego artykułu p. t. „W dzień urodzin cesarskich“, nie walczy o to, co „Kuryer Poznański“ istotnie napisał, lecz o to, czego nie napisał. „Przegląd Poznański“ zatopił skalpel anatomiczny w samym artykule i wyciągając logiczne wnioski z monarchicznych, i n e x t e n s o cytowanych tyrad, wykazał, że na drodze rozumowej argumentacyi otrzymujemy dziwaczne absurda, speczne z pojęciami religii katolickiej i Kościoła. Przeciwnik jednak naszym nie podąża śladem, lecz opowiada nam w trzech artykułach, co Kościół myśli o monarchiźmie i co „Kuryer“ ewentualnie p o w i n i e n był światu ogłosić, a czując dobrze przewrotność takiego systemu dowodowego, rzuca niby od niechcenia słówko o przesadzie, zawartej w spornym artykule.

Cała obrona robi nieomal takie wrażenie, jakby ktoś krzyknął na całe gardło: „Ziemia jest wielkim kwadratem i stoi na miejscu“, — a ktoś drugi dodał natychmiast: „To znaczy, „że ziemia jest kulą i obraca się około słońca“, — lub przynajmniej takie, jakby pan X. w artystycznym zapale wołał, że pan „S t y k a jest największym malarzem w Polsce“, a p. Y. w obronie tego nonsensu oświadczył: „To znacza, że Styka maluje czasem nieźle i poprawniej od kilku innych malarzy.“

No! „to już wszystko się kończy“ (da hört doch schon alles auf) — powiem cudowną polszczyzną przeciwnika naszego. W ten sposób podejmuję się uniewinnić wszystko, największą herezyę, najwidoczniejszy absurd. Głupstwo istnieć przestaje na świecie. Zresztą, pocóż tu silić się na łamańce i bronić straconej pozycyi, jeżeli nawet sam ks. Arcybiskup, najwyższa nasza powaga w rzeczach religii, zamanifestował tak wyraźnie protest swój przeciw Kuryerowym nonsensom. Bo przecież organ lojalizmu przeczyć chyba nie będzie, że artykuł p. t. „W dzień urodzin cesarskich“ spowodował bezpośrednio ks. arcypasterza do głośnej enuncyacyi, równającej się publicznej naganie.

To też zdaje mi się, że nie chodziło tu tyle o skruszenie kopii za monarchicznem obłąkaniem Kuryerowych rycerzy, ile raczej o narysowanie karykatury tysiąc razy wyklętej „Młodej Polski“, której największym występkiem jest to, że nie myśli tolerować w imię solidarności narodowej ocukrzonego rosołku lub podrobionej monety politycznej, którą naród częstują różnorodni luminarze poznańscy. Więc wytoczono armaty starego ale skutecznego czasem systemu. Przystrojono nas w tytuły ateistów, wrogów Kościoła, gorszycieli maluczkich i rwe-

...ście ku przerażeniu wszystkich wierzących ciśnięto straszne słowo: „Redaktor „Przeglądu Poznańskiego“ nie wspomniał w piśmie swojem ani razu słowa: Bóg“. Proszę się nie uśmiechać, proszę nie sądzić, że dla dowcipu poświęcam prawdę. Zarzut ten znajduje się nr. 44 „Kuryera Poznańskiego“ w kolumnie I, łamie III, wierszu 25 od dołu.

Cóż? panie „Bezstronny“, może raczysz mnie łaskawie pouczyć, ile razy w każdym numerze mam wymienić imię Stworzyciela, aby na względy twoje zasłużyć. Albo inną zrobię ci propozycyę: Może zechcesz przysyłać mi wierszowane tłomaczenia Apokalipsy, odczytane przed kilku tygodniami w Towarzystwie Przyjaciół nauk. Gotów jestem umieszczać je po kawałku, a gdy skończę, znów zacznę od nowa. Wreszcie trzeci jeszcze przedstawiam ci projekt. Wzbogaćmy fundusz Marcinkowskiego i zróbmy następujący zakład: Powiem ci na ucho, że jestem strasznie leniwym i dotychczas nie skontrolowałem, czy i o ile zarzut twój jest słusznym. Przypuszczam jednak, że wyrazów takich jak „Bóg, boży, boski, bóstwo“ itd. nie znajduje się mniej jak trzydzieści w roczniku „Przeglądu“. Za każdy wyraz mniej ja złożę 10 marek w kasie konkursowej, za każdy wyraz więcej ty kasę tę o 10 marek zbogacisz. Wolałbyś niezawodnie sumy te ofiarować na „Dom katolicki“, ale widzisz, ja w naszych warunkach uznaję tylko „Polski dom katolicki“, a bez tego dodatku „polski“ ani grosza na cel ten ofiarować nie mogę.

Zresztą z balów poznańskich spłynęły do kas religijnych instytucyi potoki deszczu złotego, a o tych biednych kopciuszkach, których imię: „fundusz Kościoszki“, „teatr polski“, „konkursowe dzieło o Marcinkowskim“, „Pomoc naukowa“, „Czytelnie ludowe“, zapomnieli wszyscy. Mam szczególną predylekcyę dla wydziedziczonych i pokrzywdzonych, więc dziś, gdy do rzędu sierot opuszczonych ojczyzna należy, ja tem goręcej, tem namiętniej ją kocham.

Krzywisz się, mój przyjacielu! Wiem! W oczach twoich ten sentyment wygląda znowu na masoneryę, a przytem takie narodowe fundusze nie licują z nowoczesnym lojalizmem, który tak gorąco protegujesz, że go nawet do wyżyn zasady katolickiej podnosisz. Znowu śmiechają się niedowierzająco przyjaciele moi. Ha! cóż robić? Muszę cytować wiekopomne słowa. Posłuchajcie więc, co mówi pan „Bezstronny“ w „Kuryerze Poznańskim“:

„Przeciwnicy polityki lojalizmu widzą w niej tylko wyrachowanie, które zawieść może i nie przypuszczają, że ona ma wyższe i świętsze podstawy, iż ją nie tylko nakazuje rozsądek, ale też sumienie — i taka tylko może być **polityka katolicka.**“

Tak mówi „Kuryer Poznański“.

Ergo: Kto nie jet zwolennikiem polityki lojalizmu, jest wrogiem katolicyzmu, a kto jest wrogiem katolicyzmu, jest wrogiem Boga samego i do królestwa niebieskiego nie wejdzie. Więc cała nasza polityka za czasów bezwzględnej opozycyi była „niekatolicką“, więc Szwajcarya, zrzucająca jarzmo francuzkie, zgrzeszyła przeciw Panu Bogu, więc bohaterzy nasi z r. 1830 w piekle pokutują za nielojalność swoją. Zdaje mi się jednak, że między Stwórcą Wszechrzeczy, Wszechmiłością, Wszechmądrością i Wszechsprawiedliwością, a „Kuryerem Poznańskim“ jest pewna różnica poglądów, bo przecież sam Bóg wyprowadził żydów z niewoli egipskiej, a ucieczkę tę historyczną chyba aktem lojalności nazwać niepodobno.

Gdy „Kuryer“ przeczyta powyższe słowa, mruknie sobie niezawodnie pod nosem: Niech djabli wezmą całą logikę! Gdyby jej nie było, moglibym bezkarnie bredzić i bredzić, wyzyskując katolicyzm dla zacnej polityki lojalizmu!“ Westchnienie to usłyszy może jego nadworny paszkwilista i w sukurs mu przyjdzie z całą baterya częstochowskich rymów. On to lubi nad życie. Powiem wam bowiem na ucho, że autorem kolportowanego przez redakcyę „Kuryera“ paszkwilu jest pewien akademik z Berlina, który mówiąc nawiasem otrzymał niedawno od niżej podpisanego energiczną nauczkę za natręctwo, a który uprawia fabrykacyę paszkwilów, jako rzemiosło. Rzuca on na wszystkie strony wierszowanem błotem a — cyt! teraz „Kuyer“ omdleje — rzucił niem swojego czasu także na jednego z najpoważniejszych opiekunów „Kuryera Poznańskiego“. Dziwić się temu nie można. „Pack schlägt sich, Pack verträgt sich.“

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Aleksander Kraushar. Kartki historyczne i literackie. Kraków. G. Gebethner i Spółka 1894, str. 152 i 192.

Wiadomo, iż zaraz po elekcyi Jana Kazimierza, Chmielnicki odstąpił od oblężenia Zamościa i okazał się skłonnym do układów. Powody tej zmiany frontu mniej dotychczas były wyjaśnione. Wiedziano coś o liście Jana Kazimierza, wysłanym do Chmielnickiego przez osobnego posła, ale albo przekręcano tego posła nazwisko, albo dwa poselstwa łączono w jedno, albo podawano mylną datę wysłania listu, wskazującą jakoby owo poselstwo odbyło się już po elekcyi (Szujski.) Na podstawie źródeł rękopiśmiennych, znajdujących się w warszawskiej bibliotece uniwersyteckiej i w bibliotece Krasińskiego wyjaśnia rzecz p. Kraushar w rozpoczynającym „Kartki“ artykule: „Poselstwo Jakóba Śmiarowskiego.“ Z przytoczonej własnej relacyi posła jest jasnem, że wiadomość o elekcyi doszła Śmiarowskiego już w drodze, że list pisanym był przez Jana Kazimierza jako jeszcze królewicza, że wreszcie dzięki sprytowi Śmiarowskiego udało mu się obudzić w Chmielnickim nieufność do tych jego doradców, którzy sprzeciwiali się ustąpieniu z pod Zamościa. Śmiarowski ten był niegdyś sąsiadem Chmielnickiego, a kiedy bunty kozackie się rozpoczęły, Krzywonos zniszczył jego majątek, a żonę i dzieci pozabijał. Występuje on jeszcze później w dziejach, kiedy przebywał przy Chmielnickim jako stały rezydent Kisiela; na tem stanowisku poniósł śmierć z rąk tłuszczy kozackiej. Z luźnych druków z końca XVIII w. ułożył p. Kraushar opowiadanie „Dramat rodzinny“, będące historyą tajemnych zaślubin łowczanki Suchodolskiej z Mikołajem Trzcińskim, które były powodem głośnego najazdu ojca zaślubionej na dwór Trzcińskich. Po tym obrazku, należącym do historyi obyczajów, przedstawia nam autor mało znanego satyryka XVI wieku Piotra Wężyka Widawskiego. Satyry tego pisarza prozą są rzadkościami bibliograficznemi, a nawet nazwisko autora mylnie przez historyków literatury było podawane. Jest on więcej zresztą statystą, ekonomistą i moralistą, niż satyrykiem w dzisiejszem rozumieniu. Pióro jego bowiem mało posiada koniecznej do satyry przyprawy: humoru. Jest w niem nieco podobieństwa do Opalińskiego, lubo naturalnie pan Krysztof znacznie przewyższa pana Piotra. Największą zaletą dziś dla nas Widawskiego jest jego język jędrny, barwny, pełen tych zwrotów prostych, a oryginalnych, których Rej był pierwszym u nas rodzicem. Resztę tomu „Kartek“ (tj. więcej niż połowę) wypełniają „Sylwetki literackie z niedawnej przeszłości“. Są to lekko, zgrabnie naszkicowane stosunki redakcyi „Kuryera warszawskiego za czasów Wacława Szymanowskiego. Spotykamy się z trafną charakterystyką tak samego „Wacka“ jak i jego współpracowników: Mirona Bogusławskiego, Krzemińskiego, Gomulickiego, Prusa, Gawalewicza, Czapelskiego i t. d. Z natury rzeczy koloryt tego obrazu jest jasny, różowa farba przeważa. Nie odejmuje to jednak wartości tej pracy, w której poważny badacz dziejów Arciszewskiego, okazuje się wcale dobrym fejletonistą

K. Bart.

* * *

Abgar-Sołtan. Z wiejskiego dworu, nowella. Kraków, nakładem Spółki wydawniczej. 1895, str. 281.

Nowy zbiór nowel poczytnego dziś bardzo autora mało odbiega treścią i obrobieniem od jego prac poprzednich. Tak samo sporo w nich sentymentu, ta sama łatwość opowiadania, ten sam styl niewymuszony, ta sama ilość... pięknych koni. Zauważylibyśmy tylko na niekorzyść tego utworu, że autor wyczerpał się w pomysłach. W największej nowelli, dosięgającej rozmiarów powieści, a noszącej tytuł „Kwaśne winogrona“, bohater, świetny jeździec, przybywszy do krewnych, poznaje się ze swemi dwoma kuzynkami. Pierwsza, córka gospodarza, urodzona z hrabianki galicyjskiej, jest wprawdzie bogatą, ale przesadna, pełną fumów i wyczekującą na „dobrą partyę“, druga biedną, na łaskawym chlebie u stryja, traktowaną niemal jak służąca, ale ładna fizycznie i moralnie. Bardzo łatwo chyba czytelnik się domyśli, że ta druga zostanie panią serca bohatera powieści. Znamy zresztą już wiele takich kopciuszków, nie obcą nam jest śmieszna i niemiła postać ostatniej z hrabiów Fińskich, i mąż jej, poczciwy pantoflowiec to także bardzo stara nasza znajomość. Markę niejakiej nowości posiada postać wiejskiej emancypantki: jestto panna dostatnia, zapalona namiętnie do koni, szczera, dowcipna, niekrępująca się, wesoła i otwarcie przyznająca się do staropanieństwa. W zwycięztwie „Don Kiszota“ bohater (również świetny jeździec), swatany przez wszelkie ciocie i kuzynki, wietrzące za dobrem urodzeniem i posagiem, idzie za popędem serca i żeni się z młodem, ładnem, a poczciwem dziewczęciem. W nowelce tej jest jedna postać, nie powiemy, aby nieznana, ale rzadziej spotykana, jest nią człowiek dobrego serca, odgrywający z zamiłowaniem rolę cynika. „Miss Jane“ jest drobnostką, opartą na nieporozumieniu. Mąż w tajemnicy przed żoną urządza sobie stajnię wyścigową. Telegram zapowiadający przybycie „Miss Jane“, jest tak ułożony, że pani małżonka przekonana jest najświęciej o czarnej zdradzie swego dozgonnego towarzysza. Poczciwa „Miss Jane“ tymczasem pierwsza dochodzi do mety na wyścigach w Jarmolińcach, z czego czytelniczki mają naukę, że nie należy mężów podejrzywać, bo to często prowadzi za soby niepotrzebne zmartwienia, choć z drugiej stroną i odnalezienie wierności ma swój powab i swoje przyjemne następstwa. Wspólną wadą tych wszystkich trzech utworów jest to, że na początku każdej z nich, wiemy już dobrze, co będzie na końcu. Prócz nich znajduje się jeszcze w zbiorze obrazek „Załobna noc“, bardzo smętny i bolesny, bo opisujący śmierć matki. Powinien on był znaleźć miejsce w zbiorze więcej mu treścią odpowiadającym.

K. Bart.

* * *

Kaczkowski Zygmunt. Kobieta w Polsce. Studyum historyczno-obyczajowe. Tomów dwa. Petersburg 1895, nakład księgarni Kazimierza Grendyszyńskiego, in 16-o, str. 448 i 424.

Jedyne to w literaturze naszej studynm, obejmujące w sobie całą historyę dziejów kobiety w Polsce, o mało nie uległo zupełnemu zapomnieniu, a może i zaginęłoby gdzieś niepowrotnie, gdyby nie głosy kilku ludzi dobrej woli, którzy przez lat kilka nawoływali wydawców teraźniejszych do czynienia poszukiwań odpowiednich i do wydania na świat tego dzieła. Niepodobna nietylko w krótkiej notatce, ale nawet w artykule obszernym streścić całej zawartości tego dzieła; ograniczymy się więc na zaznaczeniu, że znakomity nasz pisarz wyczerpał wszelkie źródła, jakie tylko były dlań dostępne, i z drobnych rysów zdołał, dzięki swej intuicyi autorskiej, odtworzyć typowe postacie kobiet dawnych, zaczynając od prababki naszej pogańskiej, a kończąc na „Naszej najukochańszej babce“, którą jeszcze widzieliśmy w dniu wczorajszym. Autor i w tem studyum swojem pozostał wiernym swym przekonaniom, które najlepszy wyraz znalazły w jego powieściach, opisujących życie szlachty w Sanockiem.

Dwa są przeważające rysy tendencyjne w jego opowiadaniu: religijność i miłość tradycyi szlacheckich. Ztąd pochodzi może niesłuszny pogląd autora na losy kobiety w Polsce pogańskiej, oraz na pierwsze, jakie właśnie w epoce pisania dzieła ukazały się, objawy t. zw. emancypacyi kobiet. Dzisiaj, w tym zwłaszcza ostatnim punkcie, niepodobna zgodzić się z autorem, gdyż życie wyrabia w nas powoli inne poglądy na równouprawnienie kobiet. Po za tem dzieło, jako studyum historyczne, pozostaje niezmiernie cennem dla każdego, kto interesuje się przeszłością i bada ewolucyjny rozwój społeczeństwa. Nadto zaleca książkę szata jej artystyczna: język dosadny, czysty, żywy, styl malowniczy, wykład jasny, przystępny. Przedmowę, umieszczoną na początku tomu drugiego, napisał dr. Piotr Chmielowski, znany krytyk i historyk literatury.

* *

„*Biblioteka Warszawska*". Styczeń 1895. A. Brueckner zamieszcza w omawianym zeszycie „Biblioteki" nowy rozdział swej dawniej już rozpoczętej pracy p. t. „Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej", pisząc tym razem „O pismach dziś nieznanych". Autor zalicza do nich następujące utwory: poemat Reja p. t. „Warwas" (poświęcony kwestyi kobiecej), którego żaden egzemplarz do nas nie doszedł. A. Brueckner zna ten utwór z przekładu czeskiego, który za wskazówką dr. Ziberta odnalazł w Muzeum Czeskiem w Pradze. W temże muzeum znajduje się przekład utworu p. t. „Tragedya żebracza nowo uczyniona", dotycząca tej prawdziwej plagi XV i XVI stulecia, jaką było żebractwo. Artykuł p. Brueknera zawiera dalej ciekawe wiadomości i o innych nieznanych zabytkach literatury, których tu dla braku miejsca nie wyliczamy.

P. Rembowski w obszernym artykule, rozpoczętym w omawianym zeszycie, zdaje sprawę z nowego dzieła znakomitego historyka A. Pawińskiego, p. t. „Sejmiki ziemskie, początek ich i rozwój aż do ustalenia się udziału posłów ziemskich w ustawodastwie sejmu walnego 1374—1605.

P. Askenazy drukuje kilka wyjątków z korespondencyi Ożarowskiego, dotyczących przedostatniego bezkrólewia w Polsce (po śmierci Augusta II), poddając równoczeście krytyce dotychczasowe badania w tej sprawie (Szujskiego i Wojciechowskiego).

Z beletrystyki rozpoczyna „Biblioteka" powieść p. Kowerskiej „Na służbie", w dziale poezyi daje Transkrypcye z Horaaego K. Górskiego. Na resztę zeszytu składają się działy sprawozdawcze oraz kroniki: londyńska i miesięczna.

* *
*

Odczyt p. Wyzewy. W tych dniach w Paryżu odbyła się próba jeneralna sztuki staroindyjskiej Mric'chakatika, „Wózek gliniany", którą przypisują królowi Sondraka. Zwyczajem, przyjętym w L'Oeuvre, przedstawienie poprzedzone było konferencyą. Wygłosił ją rodak nasz, p. Teodor Wyzewa, który nie od dziś zajmuje poczesne stanawisko w rzędzie estetyków francuzkich. Dość wspomnieć, że p. Wyzewie poruczono opracowanie historyi sztuki po za francuzkiej w pomnikowem dziele „Les chefs d'oeuvre de l'art de XIX siècle". Teodor Wyzewa redaguje stale rubrykę literacką w „Temps" i należy do najbardziej cenionych współpracowników wielkich „Revues" paryzkich. Wykład jego o literaturze indyjskiej — pisze paryzki korespondent „Gaz. Lwowskiej" — usprawiedliwił w zupełności rozgłos, jakim się p. Wyzewa cieszy nad Sekwaną. Wygłoszony spokojnie, z prawdziwą dystynkcyą, wykład ten zapoznał publiczność z charakterystycznemi rysami hindusów i ich piśmiennictwa. Opis kraju i ludu był niezmiernie barwny. Co do samej sztuki „Wózek gliniany", p. Wyzewa wątpi, czy autorem jej był rzeczywiście król. Jestto bowiem utwór nawskroś rewolucyjny; skostniałemu bramanizmowi przeciwstawia się w nim buddaizm, nauka miłości i sprawiedliwości; złodziej-filozof zawstydza sędziego, nawrócona kurtyzana jest bohaterką sztuki, a szlachetny buntownik tryumfuje nad księciem-nędznikiem. Jednak, zdaniem p. Wyzewy, dramat ten powstać musiał w odległej epoce piśmiennictwa indyjskiego, kiedy poeci byli jeszcze istotnie natchnieni, a lud naiwny tak, iż poezya wywierać mogła pełny swój czar. Szczęśliwy, dodał prelegent, kto nie zna fizjologii kwiatów i chemicznego rozkładu gwiazd; dla niego kwiaty wonieją jeszcze, a gwiazdy obleczone są szatą promienną! Konferencya p. Wyzewy odniosła sukces niezwykły a trzeba wiedzieć, że publiczność w L'Oeuvrre jest nader krytyczną; widziałem już conférencierów, którym publiczność w oczy się śmiała, chociaż bynajmniej anegdot nie opowiadali."

KRONIKA POWSZECHNA.

— Wiadomości społeczne i polityczne. Kampania antipolska w sejmie pruskim trwa w dalszym ciągu. Minister spraw wewnętrznych Köller nietylko stanął stanowczo po stronie spółki K. H. T., ale i w głośnej sprawie polskich teatrów amatorskich oświadczył kategorycznie, że utwory przedstawiane winny być przedłożone władzom policyjnym w przekładzie niemieckim. Bismark redivivus! — Związek rolników niemieckich odbył w poniedziałek ubiegły wielkie zebranie w Berlinie. Przewodniczący p. Ploetz poddał w dłuższym wykładzie ostrej krytyce traktaty handlowe. — W dniu 18 bm. odbył się w Toruniu sejmik gospodarski, na którym wygłosili odczyty w sprawach rolniczych i ekonomicznych pp. Dr. Bolesław Brodnicki z Małej Kołudy, p. Edward Donimirski z Łysomic i p. Stefan Grabski. — Spora liczba kobiet z towarzystwa „Ethische Kultur" ogłosiła protest przeciw projektowi przewrotowemu.

Teatr i muzyka. Dzielmy się z czytelnikami miłą wiadomością, że słynna śpiewaczka operetkowa, p. Adolfina Zimajer, powróciła już do zdrowia i wystąpi w najbliższy wtorek jednorazowo na scenie naszej jako Gabryela w „Życiu paryzkiem". Publiczność poznańska nie widziała jeszcze artystki w tej wdzięcznej roli która należy do najgłośniejszych w obfitym repertuarze pani Zimajer. — W ubiegłą sobotę wznowiono na scenie naszej „Rodzinę Furiozów" z pewnemi zmianami w obsadzie ról wybitniejszych. Największe uznanie zjednała sobie panna Zimajer grą pełną wdzięku i życia oraz pp. Rapacki, Knapczyński Skirmunt i Królikowski. — W czwartek wystawiono na poznańskiej scenie po raz pierwszy głośną operetkę „Gorąca krew" na benefis pani Trapszowej. Utalentowana artystka nie szczędziła kosztów i trudu, aby sztukę tę wystawić jak najstaranniej (koszta wystawy ponosi według zwyczajów naszych beneficyant lub beneficyantka), ale mimo to znać było bezustannie, że całość jest tylko mozolnie sklejona. Balet mianowicie zadowolnić nas nie mógł ani pod względem kostyumów, ani pod względem wykonania. Jedna tylko pani Knapczyńska stała na wysokości zadania. Z innych artystów zasługują na uznanie, oprócz beneficyantki panowie Knapczyński i Trapszo, których humor niespożyty święcił prawdziwe tryumfy, oraz pan Rapacki, zdobywający sobie prześlicznym tenorem serca publiczności. — W ubiegły poniedziałek odbył się oczekiwany z upragnieniem „Koncert Sokołów" na sali Lamberta i zadowolnił tak treścią swoją jak wykonaniem najwybredniejszych słuchaczy. Amatorska orkiestra „Sokołów" dowiodła, że pod umiejętnem kierownictwem p. dyrektora Zaremby rozwija się pomyślnie, a kompozycye kapelmistrza swojego (Marsz i Wiązankę pieśni polskich) wykonała prawdziwie con amore. Również „Medytacyę" Bacha na skrzypce, wiolonczelę i fortepian powitała publiczność przeciągłemi oklaskami. Artyści poznańscy i galicyjscy biorący udział w koncercie, talentem swoim tak ujarzmili publiczność, że zmuszano ich powtarzać nieomal każdą produkcyę. Pełna wdzięku i temperamentu deklamacya panny Zimajer, zdrowy humor i silny głos p. Kicińskiego, elegancki komizm p. Knapczyńskiego i porywający śpiew p. Rapackiego składały prawdziwie artystyczną całość. Salę wypełniła publiczność po same brzegi, a mnóstwo osób odejść musiało bez biletów od kasy — W dniu 14 lutego odbył się w Berlinie doroczny koncert na rzecz „Bratniej Pomocy Akademików Polaków" W koncercie tym brali udział znany poznańskiej publiczności śpiewak operowy p. Bernhard, oraz pan Broekere i panna Sulima z Rydzyny Pierwszy zjednał sobie grzmiące oklaski mistrzowskiem wykonaniem kilku głośnych utworów barytonowych, a koronę wieczoru stanowił duet z Traviaty odśpiewany razem z p. Sulimą. Artystka ta, znana również publiczności poznańskiej z kilku występów koncertowych, dowiodła, że głos jej nic nie stracił na świeżości i sile. Pan Broekere zjednał sobie również grzmiące oklaski pięknem wykonaniem polonezu Chopina.

„Dowcip Voltaire'a"

Voltaire był niepospolicie dowcipny: posiadał wyjątkowy dar, wprowadzania w dobry humor całego otoczenia, jednem zręcznie wyrzuconem słowem jednał sobie ogólne uwielbienie. Pewnego razu wychwalał poetę Albrechta Hallera, jakkolwiek nie cieszył się jego sympatyą, wtedy zauważył ktoś z pomiędzy zgromadzonych: „Pan chwalisz Hallera, on jednak wyraża wręcz przeciwne zdanie o panu!" „Masz pan słuszność, z uśmiechem odrzekł filozof, — wiem, co mówi o mnie Haller, ale być może. iż obaj się mylimy".

Kiedy zastanawiano się nad starością świata, Voltaire jednem zdaniem zamknął dyskusyę: „Świat, — rzekł, podobny jest do starej kokietki, o której wieku nigdy nie można sądzić."

„Co pan mówisz! — zawołał jeden z lekarzy, widząc, że Voltaire wieczorem kawę pije, — przecież to powolna trucizna!" — „Wiem, — odrzekł filozof, — bo piję ją już, Bogu dzięki, od sześćdziesięciu lat."

Pewnego razu Voltaire pisał do swego wydawcy: „Nie drukuj pan tak wielkiej ilości dzieł, bo czem większy będzie pakunek, tem uciążliwszą będzie moja podróż na tamten świat."

Tracił dobry humor, kiedy szło o jego miłość własną i wtedy był nieubłagany. Pisząc w Ferney tragedyę „Katilina", dla wzbudzenia w sobie natchnienia, ubierał się zazwyczaj w togę i przechadzając się po ogrodzie, deklamował napisane strofy: jeden ze służących roześmiał się, ujrzawszy to dziwne widowisko. Do żywego dotknięty niezwłocznie wydalił go ze służby, a kiedy dobrzy znajomi starali się wyprosić przebaczenie dla biednego człowieka, — filozof wspaniałomyślnie wypłacił winnemu całoroczną pensyę, ale do służby go nie przyjął, mówiąc, że nie może w swym domu tolerować człowieka, który roześmiał się w sam nos, Ciceronowi.

Często jednak padał pod bronią, którą tak zręcznie wojował. Wielki przeciwnik jego Ferron skrytykował sztukę p. t. „Merope"; z ukazaniem się na scenie dzieło pozyskało ogólne uznanie; autor zapragnął zemścić się na niesprawiedliwym krytyku. W tym celu puścił w świat nowe wydanie; na pierwszej stronnicy wyobrażony był osieł, szarpiący wieniec laurowy. Ferron wtedy napisał: „ukazała się „Merope" w nowem ozdobnem wydaniu, z portretem autora". Voltaire zmuszony był uznać się za pokonanego i wykupił cały nakład.

Odpowiedzi Redakcyi.

X. Z. W wierszu nadesłanym są niewątpliwe ślady talentu, ale forma razi jeszcze wymuszeniem i gdzieniegdzie pospolitością

Kal. Kosztuje tylko 3 Mr., — nie radzimy jednak kupować.

T. w K. Zgodzić się nie możemy. Rękopis odsyłamy.

Przyjaciółka. Autorowi „Zwyciężonego" nie chodziło bynajmniej o skreślenie idealnych typow, lecz o charakterystykę ludzi żywych z ich ułomnościami i słabościami. Marta z pewnością ideałem nie jest, lecz kobietą chwiejną o sercu kochającem, — wcieleniem „des ewig weiblichen." Wolskiego bezwzględność i egzaltacya wypływa z jego fanatyzmu oraz warunków pochodzenia i otoczenia. Zdaje się, że Pani opiera postulaty swoje na prawidłach klasycznych, których nowoczesna estetyka dramatu już nie uznaje. Część krytyki poznańskiej zastanawia się również nad tem, jakiemi Marta i Wolski być powinni, aby stanąć przed nami w blaskach ideału bohaterskiego, zapomina jednak zupełnie o tem, że autor ludzi i tylko ludzi przedstawić pragnął, — że krytyk, idący z prądem czasu, nie pyta, co temu lub owemu bohaterowi ze stanowiska etyki uczynić należało, lecz czy typ wprowadzony na scenę jest psychologicznie prawdziwy, czy odpowiada ludziom żywym. — Za słowa uznania dziękujemy serdecznie w imieniu autora.

Wszystkim korespondentom, żądającym nadesłania „Zwyciężonego" odpowiadamy, że dramat ten ukaże się w formacie książkowym dopieró w miesiącu kwietniu.

Składki.

Na fundusz imienia Tadeusza Kościuszki złożyli:

Młodzież zebrana w hotelu Adamczewskiego 10,40 Mr.

Dotychczas zebraliśmy na cel powyższy 485,80 M.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Józef Sąchocki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego". Czcionkami W. Simona w Poznaniu.